



Tygodnik PZPR ◆ Legnica ◆ Rnk XII
Nr 630 ◆ 31 sierpnia 1984 r. ◆ 10 zł

Ostatnia bitwa

Następnego dnia, godzina 5 rano — alarm: Niemcy zbliżają się do Modlina! Alarm okazuje się fałszywy, jednak wymarsz już zarządzone. Zygfryd Piekuth zostaje mianowany oficerem ewidencyjnym. Do niego należy ewidencja członków batalionu. Dostaje kilka ocalałych furmanek i ładuje nań skrzynię z dokumentacją. O godzinie 7 rano batalion, a właściwie jego część kadrowa, bo pozostali są na froncie, opuszcza twierdzę Modlin. Maszerują przez Nowy Dwór, Mińsk Mazowiecki, w kierunku Łucka. Nękani z ziemi i powietrza, przemierzają ponad trzysta kilometrów. 17 września stają w Łucku. Jeszcze nie wiedzą, że tego dnia, dokładnie o 3 nad ranem rząd radziecki wręczył polskiemu ambasadorowi w Moskwie notę informującą o warunkach przekroczenia przez Armię Czerwoną granicy z Polską.

6

Spojrzenia



DOBIEGA KONIEC
AKCJA ZNIWNA...

Rys. Robert Szczówka

Ziemi i sobie

Kalkowscy uparli się. Będą budować chlewnię — i to nie byle jaką, na dwieście sztuk świń. Ich decyzja mogła wydawać się karkołomna. Mieli zaledwie sześć hektarów ziemi, żadnych maszyn, dwie krowy, cztery świnię... Połączony z oborą dom był wilgotny i zagrzybiony, przepływająca o parę kroków rzeczka co wiosnę wylewała a brudna, mętna woda przedostawała się za progi, zalewała sprzęty i dobytek. Nie, stanowczo Kalkowscy nie należeli do liczących się gospodarzy w Zagrodnie. Postawili co prawda niedawno stodołę, dokupili hektar ziemi, kupili ciągnik — ale nikt nie przypuszczał, aby ośmielili się rzucić wyzwanie całej wsi (...)

5

Wielka mistyfikacja

Ja wiem, że krzykliwe manifestacje bońskich odwetowców to nie są całe Niemcy, że nie brak tam obywateli o wielkiej kulturze i rzetelnej wiedzy o przeszłości, których nie przekonają ani kłamliwe hasła, ani zgiełk fałszywej propagandy, ani oszczercze wypowiedzi. Ale ciągle powtarzanie kłamstw, ciągle podburzanie do zemsty i odwetu jest groźne. To nie Polak powiedział, że wystarczy tysiąc razy powtórzyć kłamstwo, a ludzie uwierzą, i o prawdzie tego twierdzenia, przynajmniej w stosunku do naszych zachodnich sąsiadów, mogliśmy się już przekonać. Dlatego nie wolno milczeć. Trzeba mówić prawdę również o tych trudnych czasach i trudnych decyzjach, żeby powtarzane bez przeszkód kłamstwa nie stały się „zastępczą prawdą” pokoleń, które same nie pamiętają już lat powojennych. Jak więc było naprawdę?

10



Fot. Janusz Budnicki

Obrazki z nowego osiedla — str. 8-9

W rocznicę sierpniowych porozumień

Dlatego należy włożyć między bajki oceny, według których pierwszym krokiem na drodze realizacji porozumień jest ogłoszona z okazji 40-lecia amnestia. Prawda jest inna. Pocucie odpowiedzialności

i dobra wola, które ten akt zrodził, wymagały całego zespołu przesłanek. Tworzyła je rok po roku, miesiąc po miesiącu, dzień po dniu, wytrwała walka i praca tych, którzy z całą dosłownością potraktowali naczelne hasło sierpnia: „Socjalizm — tak, wypaczenia — nie!”. Amnestia jest logicznym uwięzieniem tych wysiłków, świadectwem ich powodzenia (...)

3

Jeśli popsul niech naprawia

Zaraz na początku „posierpniowego generalnego sprzątania” całą dolnośląską prasę i część krajowej, obiegły sensacyjne reportaże i artykuły zapowiadające rychłą apokalipsę w górniczym miasteczku Polkowice. Robiło to wrażenie jakby nagle z dnia na dzień w Legnicko-Głogowskim Okręgu Miedziowym odkryto nikomu nie znane zjawisko — zjawisko szkód górniczych. Dywagacje, spekulacje, deliberacje i plotki wystrzeliły gejzerem: runą polkowickie wieżowce — nie runą — już runęły — ktoś będzie za to siedział — nikt nie będzie siedział — już kilku posadzili...

4

Bal maskowy

Inspektor Wilbur Backins wyjaśnił, że przeszedł dokładnie ostatnie 24 godziny życia denata i stwierdził, że złożył on wizytę w domu Tony'ego Libry. — Tak — potwierdził Libra. — Jameson przyszedł do mnie około 8.30 wieczorem. — A jaki był cel tej wizyty? Towarzyski? — zapytał inspektor. — Nie! Tony Libra szczegółowo opowiedział przebieg rozmowy. — Nie wymienił żadnego nazwiska? — upewnił się inspektor. — Nie! — Dalej, niestety, nie wiemy zbyt wiele... Jamesona znaleziono koło parku. Serce miało przebite nożem. Śmierć zaskoczyła go nagle — nie było żadnych śladów walki...

13

Tragizm i bohaterstwo

Włodzimierz Sokorski

Na wojnę w 1939 roku powszechnie oczekiwano i jednocześnie w jej wybuch nie wierzono. Zduszenie republiki hiszpańskiej, inwazja na Austrię i Czechosłowację wskazywały, że teraz kolej na Polskę. Jednocześnie pozorowana pewność siebie ówczesnego rządu, orientowanie się na Zachód i Włochy Mussoliniego, dokąd wyjechał specjalny przedstawiciel marszałka E. Rydz-Śmigłego, gen. B. Wieniawa-Długoszewski, stwarzały fałszywe nadzieje, że coś się stanie, co wojnę odwlecze, a nawet uczyni ją niemożliwą. Zapewne na to liczono, odrzucając propozycję rządu radzieckiego przyjęcia Polsce z pomocą, co ostatecznie pchnęło ten kraj do zawarcia układów z Trzecią Rzeszą.

Mit umów z Francją i Anglią ciągle istniał i to w takim stopniu, że nawet zarządzenie o powszechnej mobilizacji nie potrafiło obudzić narodu z odrętwienia. W chwili wybuchu wojny, nawet podczas porannego bombardowania Warszawy, włączono na dachy domów w przekonaniu, że mamy do czynienia z kolejnymi manewrami. Dopiero ofiary, pożary i komunikaty radia zobrazowały grozę sytuacji. Polska była do tego stopnia nie przygotowana na uderzenie Trzeciej Rzeszy, że jedynie Armia Środek — Poznań wytrzymała natarcie i nawet zmusiła hitlerowców do wycofania się poza dawną granicę. Armia Południe pękła od razu, podobnie Armia Pomorze, jedynie Westerplatte, Gdynia i Hel bohatersko walczyły. Bronił się również Modlin, co zatrzymało Niemców przed Warszawą. Dzięki odsieczom Armii Poznań, Warszawa mogła się przygotować do obrony, mimo że rząd, razem z marszałkiem E. Rydz-Śmigłym, opuścił stolicę i przez Zaleszczyki udał się do neutralnej Rumunii.

Na czele komitetu obrony Warszawy stanął jej prezydent Stefan Starzyński. Dowództwo wojsk, zgromadzonych w stolicy, objął gen. J. Rómmel. Mimo wezwania radiowego płk. R. Umiatowskiego do opuszczenia Warszawy przez ludność, zwłaszcza męską, gdyż podobno E. Rydz-Śmigły tworzy siły zbrojne, większość ludności pozostała na miejscu, a nawet ci którzy początkowo wyszli z miasta, na wiadomość, że stolica się broni, wrócili, zgłaszając się na ochotnika do walki.

Lewica, socjaliści i komuniści od pierwszej chwili stanęli na stanowisku obrony kraju i walczyli bądź w szeregach armii, bądź tworzyli ochotnicze bataliony. Na czele tego rodzaju jednostek zginął na przedmieściu Warszawy komunista M. Buczek, który razem z kilkoma

towarzyszami wy dostał się z więzienia i wziął udział w obronie stolicy. Przewodniczący CKW PPS, Mieczysław Niedziałkowski, wspólnie z Bohdanem Żołądkowskim, kierownikiem ostatniego krajowego sekretariatu KPP, tworzyli w Warszawie bataliony robotnicze, które mimo braku broni, wzięły udział w umacnianiu obrony stolicy i uczestniczyły w walce.

Ta decyzja lewicy polskiej posiadała ogromne historyczne znaczenie i była brzemenna w istotne następstwa. Mimo że Francja i Anglia formalnie wypowiedziały wojnę Trzeciej Rzeszy, a ZSRR i Stany Zjednoczone wzięły w niej udział w następnym etapie, walka osamotnionej Polski nie miała w opinii światowej powszechnego uznania. Rząd polski nie był popularny, nie chciał umierać za Gdańsk, wir wojny światowej był tak przerażający, że mało było aktów solidarności z Polską. Stanowisko lewicy polskiej, polskich komunistów, na pewno nie podjętych o sympatię rządu, było istotnym sygnałem, że toczy się wojna sprawiedliwa i że Polacy będą się bić przeciw hitleryzmowi wszędzie tam, gdzie będzie można. Dzięki tej wrześniowej decyzji, gen. Wł. Sikorski, jako premier rządu londyńskiego, mógł już w lipcu 1941 roku zawrzeć umowę ze Związkiem Radzieckim i zacząć organizować na terenie ZSRR stutysięczną Armię Polską pod dowództwem gen. Wł. Andersa. Gdy Anders, wbrew Sikorskiemu, lecz za pośrednictwem W. Churchilla, wyjechał do Iranu i na Bliski Wschód, powstała w Siedlcach nad Oką, a potem w Summach, Pierwsza Armia Polska, która już w chwili przekraczania Bugu i ogłoszenia Manifestu Lipcowego liczyła 140 tysięcy żołnierzy.

Równie głębokie były konsekwencje walki narodu polskiego we wrześniu dla późniejszego zbrojnego oporu. Polska nie wydała Qislingów. Major H. Dobrzański — Hubal podjął hasło czynu orężnego nazajutrz po klęsce wrześniowej. Powstała Armia Krajowa i Armia Ludowa oraz Bataliony Chłopskie. Od 1942 roku polska partyzantka stała się poważną siłą zbrojną na zapleczu wroga. Niszczono linie komunikacyjne, nekano garnizony stacjonujące w Polsce, wylatywały w powietrze składnicy amunicji i obiekty wojskowe. I znowu lewica polska a więc PPR, lewicowi socjaliści i ludowcy stanęli na czele zbrojnej walki o Polskę w oparciu o przyjaźń polsko-radziecką, ścisłe współdziałanie z Armią Czerwoną i wspólną wojnę z hitleryzmem aż do wyzwolenia Polski i zajęcia Berlina. Brak tej konsekwencji w dowództwie

Armii Krajowej doprowadził do tragicznego w skutkach Powstania Warszawskiego, wyznaczonego bez nawiązania łączności z Armią Radziecką i Pierwszą Armią Polską. Mimo tego tragicznego błędu, w powstańczych szeregach walczyła nie tylko Armia Krajowa, lecz również Armia Ludowa, a więc zbrojne ramię polskich peperowców. Komuniści konsekwentnie realizowali swoje stanowisko czynu zbrojnego, które proklamowali we wrześniu 1939 roku. Ta konsekwencja nobilitowała KPP i potem PPR na partię narodu polskiego i na trwałe zapisała nie tylko polską lewicę, ale również cały naród polski w historii drugiej wojny światowej.

W tym roku obchodzimy 45 rocznicę września. Sejm, na wniosek Zarządu Głównego ZBoWiD, ustanowił pamiątkowy medal dla uczestników kampanii wrześniowej. Otrzymało go już 120 tysięcy żołnierzy i oficerów września, mieszkających nie tylko w kraju, lecz i za granicą. Nie wszyscy, niestety, tej chwili dożyli, lecz dla polskiego społeczeństwa rocznica września jest i pozostanie symbolem walki i niezłomności narodu polskiego. Narodu, który walczył podczas drugiej wojny światowej nie pięć lecz sześć lat.

Rocznicy tej nie obchodzimy w oderwaniu od obecnej sytuacji międzynarodowej. W tym roku jest ona okazją do protestu przeciwko wojnie, zbrojeniom, instalacji rakiet, polityce rozstrzygania konfliktów światowych z pozycji siły. Polski protest przeciw tej działalności nabiera specjalnego znaczenia. Jest bowiem protestem narodu boleśnie doświadczanego, który udowodnił, że umie walczyć, lecz nigdy więcej nie chce nowej wojny. Wszystkie uroczystości, które wiąże się z tą datą, wszystkie spotkania w miejscach pamięci narodowej, stanowią wyraz naszego zdecydowania w kontynuowaniu pokojowej polityki.

Polska Ludowa wchodzi w okres normalizacji stosunków wewnętrznych i przezwyciężenia ekonomicznego kryzysu. Tym większego znaczenia nabiera nasz głos. Wielu polityków państw zachodnich powinno sobie z tej okazji uświadomić miejsce i rolę Polski podczas drugiej wojny światowej. Jesteśmy spadkobiercami nie tylko września, lecz tej myśli, z której na gruncie zwycięskiej wojny nad faszyzmem powstała Polska Ludowa, i którą konsekwentnie o własnych siłach budujemy. Mijmy nadzieję, że w 45 rocznicę września świat potrafi lepiej zrozumieć cele naszej polityki i naszą zdecydowaną postawę w obronie pokoju.

W rocznicę sierpniowych porozumień

Ludwik Krasucki

Upływający czas nie zmniejsza znaczenia wydarzeń burzliwego lata 1980 roku, wstrząsu związanego z masowymi strajkami sierpniowymi oraz zawartych na przełomie sierpnia i września porozumień. Nie zanika w robotniczej i społecznej świadomości pamięć owego przesilenia. Pozostają żywe, a w miarę postępów porozumienia, normalizacji, odnowy życia kraju nabierają coraz większej aktualności zasadnicze wnioski wyciągnięte z tej surowej lekcji ideologii, polityki, życia społecznego, gospodarki. Zająrzę do zszywek prasy z października 1960 i grudnia 1974 roku. W cztery lata po tamtych wstrząsach prawie nie było już o nich mowy. Raport o przyczynach i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach PRL, opracowany przez komisję powołaną na podstawie decyzji IX Zjazdu, odnosi się do tamtych przemyleń jako jednego z czynników, które w istotny sposób wpłynęły na dramaturgię konfliktu sprzed 4 lat.

Tym razem stanowisko partii było, jest i będzie diametralnie inne. Sierpień 1980 roku stał się źródłem wniosków zasadniczych, strategicznych, programowej natury, obliczonych nie na doraźny efekt czy krótkotrwałe względy taktyczne, lecz na cały nadchodzący okres. Historia ruchu robotniczego i współczesne dzieje polityczne niewiele znają przykładów podobnej konsekwencji w samokrytycznym drażnieniu przyczyn zła, ujawnianiu błędów i deformacji.

Owczesna lekcja stała się źródłem programu uchwalonego w bezprecedensowej, ostrej, nie wolnej od emocji dyskusji na IX Zjeździe PZPR. Szans narastającej, konsekwentnej realizacji tego programu — linii socjalistycznej odnowy — trzeba było bronić przed narastającymi w tamtym okresie zagrożeniami. To, co w trakcie sierpnia było jedynie rodzajem antyustrojowej piany na nurcie uzasadnionego protestu robotniczego, zyskało bowiem w burzliwym toku następnych 16 miesięcy złowrobną, niebezpieczną dynamikę. Właśnie przeciwko temu, a więc w obronie głównych treści sierpnia, ówczesnych porozumień, polityki IX Zjazdu, podjęta została w grudniu 1981 roku decyzja zastosowania nadzwyczajnych środków obrony państwa.

Po upływie przeszło dwa i pół roku tym lepiej widać, jak fałszywe były i są interpretacje usiłujące przeciwstawić stan wojenny intencjom i motywom, które ten krok zrodziły. Odegrał on wielką rolę w obronie idei i szans odnowy, której powszechnie domagano się w sierpniu 1980 roku.

Czas przezwyciężania zagrożeń, głębokiej, sięgającej milionów umysłów i sere normalizacji, okazał się okresem sprzyjającym reformatorycznym rozwiązaniom i oczyszczającym życie działalności.

Część zadań jest już w fazie zaawansowanej realizacji. Z innymi stopniowo przebijamy się do praktyki. Niektóre zostały ledwie zapoczątkowane.

Ale nie ma punktu porozumień ani fragmentu uchwały IX Zjazdu, których urzeczywistnienie nie zostałoby podjęte.

Dlatego należy włożyć między bajki oceny, według których pierwszym krokiem na drodze realizacji porozumień jest ogłoszona z okazji 40-lecia amnestia. Prawda jest inna.

Poczucie odpowiedzialności i dobra wola, które ten akt zrodziły, wymagały całego zespołu przesłanek. Tworzyła je rok po roku, miesiąc po miesiącu,

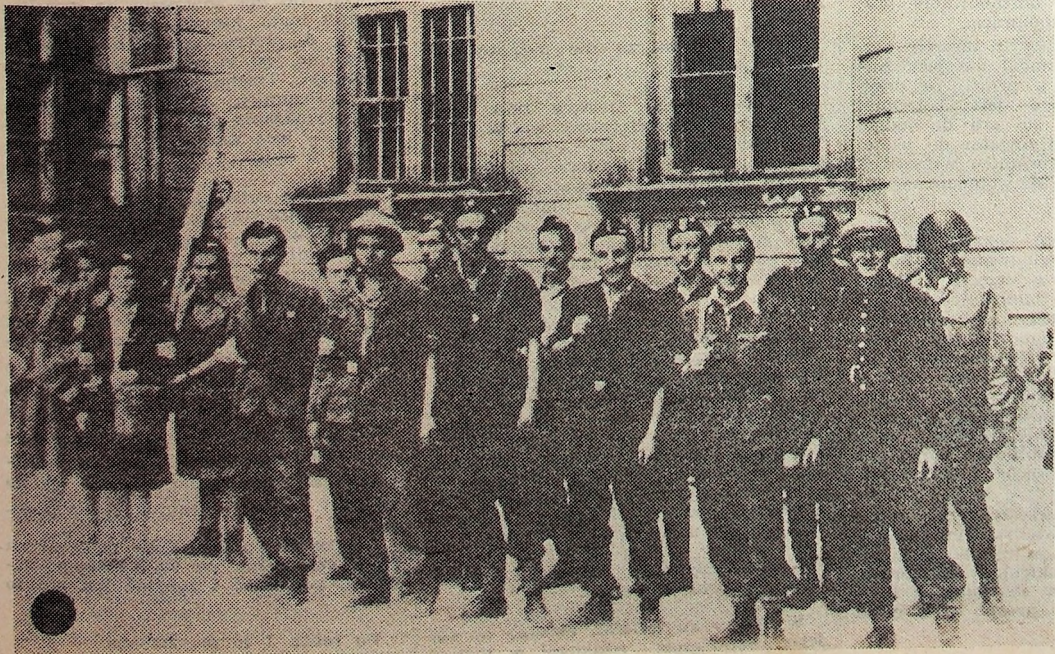
dzień po dniu, wytrwała walka i praca tych, którzy z całą dosłownością potraktowali naczelne hasło sierpnia:

„Socjalizm — tak, wypaczenia — nie!” Amnestia jest logicznym uwieńczeniem tych wysiłków, świadectwem ich powodzenia. Najmniej przyczynili się do niej ci, którzy w minionym czasie na różne sposoby lansowali koncepcję likwidacji nie wypaczeń, lecz socjalizmu jako takiego.

Ich niezadowolnienie z przebiegu wydarzeń jest prostą konsekwencją nieodwracalnej porażki, jaką ponieśli.

Sierpniowa lekcja stała się zaczynem programu; program przekształcony został w sumę dyrektyw realizowanych każdego dnia. Ta ciągłość i konsekwencja są źródłem uzasadnionych nadziei.

Ich spełnienie zależy od każdego, kto uzna za swoje hasło wykluczające możliwość powrotu zarówno do przedsierpniowych wynaturzeń, jak i do posierpniowych prób demontażu domu, w którym żyjemy.



1. Człowiek wygrzebał dziurę w ziemi i wydobyl paręset pudów soli. Przyszła ulewa, podmyła wykop — zniknęła przycupnięta obok lepianka, a z nią i człowiek. Taki był początek światowego górnictwa, taka była pierwsza dani- ną, jaką przyszło zapłacić przyrodzie za odebrane jej przemocą skarby. Odtąd aż po dziś dzień, tam gdzie sięga się po ukryte pod ziemią bogactwa, składa się haracz, mniejszy lub większy — ale zawsze. Bo od tej reguły nie ma wyjątków, obowiązują wilcze prawa. Na terytoriach wielkich okręgów górniczych, gdzie zryto ziemię jak szwajcarski ser, zapadały się drogi, pękały mury, waliły się w gruzy domy. Pod gruzami ginęli ludzie. Historia zna wiele takich przypadków. Postęp cywilizacyjny, a z nim techniczny, pozwolił złagodzić skalę i rozmiary zjawiska, nauczył przewidywać i zapobiegać, obnażył niemal wszystkie kanony „wilczego kodeksu”. Jednak nie wyeliminował samej groźby i skutków zjawiska, któremu współczesna nauka nadała nazwę „szkod górniczych”. Nie jest od nich wolny żaden okręg górniczy na świecie.

2. Nie wiadomo dokładnie jak było kiedyś: kto płacił za szkody wyrządzone na powierzchni — kopalnia czy kupiec, któremu pękła kamienica. Współcześnie wszystko jest jasne. Polskie Prawo Górnicze precyzyjnie określa granice odpowiedzialności. Wiadomo gdzie zaczyna się etap, na którym wszystkie szkody spowodowane w urządzeniach i budowach na powierzchni ma obowiązek naprawić zakład wydobywczy, i gdzie ten etap się kończy. Złoża mineralów są własnością państwa i czerpie się z nich w interesie państwa. Jednak nie można tu stosować machiawelskiej dewizy, że cel uświęca środki. Interes państwa trzeba umieć pogodzić z interesem huty rosnącej nad kopalnią, z interesem lokatora wielkiej spółdzielczej kamienicy, z interesem drobnego sklepikarza. Bo hutnik nie chce, aby wskutek ruchów ziemi pękł mu marten, lokator pragnie mieć dach nad głową, a nie na głowie, a sklepikarz woli handlować w całym, a nie rozdartym na pół, kramie. I Prawo Górnicze jest tym złotym środkiem, który ma neutralizować wszelkie antagonizmy, w imię naczelnej sprawy — interesu państwa. Rozgranicza wyraźnie zakres kompetencji i zakres odpowiedzialności. Zawarto je w jednym, jednoczesnie technicznym, prawnym i ekonomicznym terminie — „filar ochronny”.

Niby wszystko jest jasne, a jednak nie wszystko.

Praktyka jest bowiem sztuką niekompetencji.

3. Zaraz na początku „posierpniowego generalnego sprzątania” całą dolnośląską prasę i część krajowej, obiegły sensacyjne reportaże i artykuły zapowiadające rychłą apokalipsę w górnictwie miasteczku Polkowice. Robiło to wrażenie jakby nagle z dnia na dzień w Legnicko-Głogowskim Okręgu Miedziowym odkryto nikomu nie znane zjawisko szkód górniczych. Dywagacje, spekulacje, deliberacje i plotki wystrzeliły gejzerem: runął polkowickie wieżowce — nie runął — już runęły — ktoś będzie za to siedział — nikt nie będzie siedział — już kilku posadzili...

Gruchnęły oskarżenia, protesty i żądania. Kopalnia eksploatuje złoża w filarze ochronnym, to ona winna — nieprawda, winien jest kombinat — winni budowlani — winne władze — wstrzymać wydobywanie — wysiedlić mieszkańców — ukarać winnych...

Ruszyła szalona karuzela: skarga — zebranie — wiec — masówka — narada — protest — zebranie — znów skarga — znów zebranie...

Na ten zbiorowy amok złożyło się kilka generalnych przyczyn: niefrasobliwość, niekompetencja i niekonsekwencja — po stronie terenowej administracji, nieodpowiedzialność i brakoróbstwo — po stronie projektantów i budowlanych, nieznajomość pewnych zjawisk towarzyszących eksploatacji złóż miedzi — po stronie górników i brak zdecydowanej reakcji wobec ewidentnych błędów, wytykanych przez liczne urzędy kontrolne — po stronie władz wojewódzkich.

Ten splot musiał przynieść oplakane następstwa.

4. Prawo Górnicze powiada, że szkody wyrządzone eksploatacją górniczą w obiektach należących do osób prywatnych i spółdzielni mieszkaniowych odpowiada zakład wydobywczy. Ma on obowiązek na własny koszt i własnymi siłami szkody usunąć. W obiektach administrowanych przez instytucje państwowe szkody naprawia właściciel na

koszt zakładu wydobywczego, który je wyrządził. Istotna uwaga: rzecz dotyczy obiektów, które istniały w momencie rozpoczęcia eksploatacji górniczej w rejonie ich lokalizacji. Ta lokalizacja to właśnie w największym uproszczeniu „filar ochronny”. Ow filar to partia złoża zalegającego w obszarze objętym zabudową. Ochrona dotyczy specjalnego trybu postępowania gwarantującego bezpieczną i opłacalną eksploatację zasobów złoża przy zredukowaniu do minimum możliwości uszkodzenia budowli na powierzchni ziemi.

Prawo Górnicze ostrzega: każdy inwestor zamierzający wybudować obiekt na terenie filara ochronnego lub na terenie górniczym, musi uzgodnić warunki projektowe z właściwym okręgowym urzędem górniczym. Bowiem na terenach górniczych trzeba projektować i budować podług innych, specjalnych kryteriów. Budowie muszą mieć wzmocnioną konstrukcję, gdyż tylko to gwarantuje pełne bezpieczeństwo.

Jeśli zatem nowy obiekt został wybudowany bez zachowania specjalnych

Jeśli popsuł niech naprawia

Janusz Dobrzański



kryteriów i ulegnie uszkodzeniu — to kopalnia z czystym sumieniem może umyć ręce.

Warunkiem niezbędnym — pogodzenia interesów tych, co pod ziemią z tymi, co na powierzchni jest wzajemne zrozumienie, obopólne poszanowanie prawa i partnerska współpraca.

W zagłębiu miedziowym niestety nigdy tak nie było i nadal nie jest. Administracja uznawała a priori, że przyczyną wszelkiego zła jest kombinat miedzi i odbywa się gra do jednej bramki albo inaczej sięganie do jednej kieszeni — z zastosowaniem wszystkich zasad walki w stylu wolnoamerykańskim.

5. Tuż za progiem dekady lat siedemdziesiątych zlikwidowano w Polsce nadzór budowlany z urzędu. Odtąd pieczę nad jakością budownictwa mieli sprawować inspektorzy zatrudnieni w przedsiębiorstwach budowlanych. Równało się to prawie całkowitemu wyrugowaniu kontroli jakości. Bo dla inspektora nadzoru pobierającego gażę z przedsiębiorstwa, które miał kontrolować, zakwestionowanie jakości prac oznaczało utratę premii, nie mówiąc o innych nieprzyjemnych reperkusjach takiego kroku...

Opinie innych urzędów i instytucji kontrolnych, pozbawionych praktycznie (w odniesieniu do „miliacji budowlanej” sprzed roku 1970) jakiegokolwiek uprawnień represyjnych w stosunku do winnych zaniedbań, po prostu ignorowano i przemilczano.

Tak było.

Już w roku 1975 dyrektor naczelny

kopalni „Rudna”, której rejon eksploatacji obejmuje Polkowice, zwracał uwagę wszystkim zainteresowanym, że przy budowie obiektów nie zachowuje się obowiązujących zasad i przepisów.

Bez echa.

Potem było jeszcze kilka pism autorstwa doraźnie zwolnionych inspekcji.

I nic.

Inspektor budowlany Okręgowego Urzędu Górniczego we Wrocławiu we wrześniu 1977 roku informował wojewodę legnickiego, że „W czasie inspekcji stwierdzono, że w Polkowicach i Lubinie wznoszone są wysokościowce na terenach II i III kategorii zdolności terenu pod zabudowę niezgodnie z instrukcją”. Chwilę później pisał dyrektor Zielonogórskiego Zjednoczenia Budownictwa: „Informuję ponadto, że obecnie żadna fabryka domów nadzorowana przez ZZB nie jest przystosowana pod względem technologii produkcji do realizacji obiektów na terenach II i III kategorii górniczej”.

I też nic.

24 stycznia 1979 roku o godz. 9.35 w Polkowicach runął segment nowo wznieszonego wieżowca. Gruchnęła pogłoska: wskutek wstrząsu. Eksperti — komisje — drobiazgowo badania. Wynik: nie wskutek wstrząsu, a skandalicznego brakoróbstwa — prokurator, sąd, wyroki. Wkrótce wybuchła bomba z histerią.

6. Przy sławnych polkowickich wieżowcach od wielu miesięcy mozoła się budowlani — wznoszą specjalne ściany usztywniające. Dodatkowa skomplikowana robota, dodatkowe wysokie koszty. Część mieszkańców wykwaterowano, część, chce czy nie chce, musi żyć z uciążliwym remontem. Nie jest to przyjemne.

KGHM sprowadził specjalną maszynę do czyszczenia szczelin dylatacyjnych. Fakt czy mają one wymagany prześwit czy nie — ma kardynalne znaczenie dla odporności budynków na szkody górnicze. I oto wyszła na jaw jeszcze jedna fuzerka budowlanych. Szczeliny są po prostu zabetonowane. Rewelacyjny agregat skonstruowany przez specjalistów z Górnego Śląska łamie sobie wszystkie „zęby”, z ultratwardej szwedzkiej stali, już po kilku obrotach wrębiarki. Robota kuleje, koszty rosną — płaci KGHM.

Powiedziano mi w kombinacie: „My tego nie powinniśmy robić ani naszymi ludźmi, ani za nasze pieniądze. Jeśli spółdzielnia mieszkaniowa odebrała sfuszerowane bloki, to powinna ponieść konsekwencje własnej niefrasobliwości. Ale robimy to, bo uważamy, że jest to nasz moralny obowiązek — tam po prostu mieszkają nasi pracownicy”.

13 sierpnia 1984 SM „Cuprum” z Polkowic „dziękuje” kombinatowi za tę bezinteresowną przysługę pisząc co następuje: „...W wymienionym budynku w miesiącu kwietniu przystąpiono do oczyszczania dylatacji i prace trwają nadal. W czasie wykonywania prac powstaje bardzo duży hałas co utrudnia przebywanie w mieszkaniach. Ponieważ członkowie spółdzielni nie zwinili takiego stanu rzeczy spółdzielnia uważa, że kombinat winien płacić czynsz za lokatorów w ramach pokrycia wyrządzonych szkód”.

Demonstrując mi to pismo w kombinacie powiedziano: „Oni nie tylko nie znają prawa, oni są po prostu bezczelni!”.

Reszty komentarza nie puściłby mi żaden naczelny.

7. Dwudziestego czerwca 1978 roku Okręgowy Urząd Górniczy we Wrocławiu zezwolił kopalni „Rudna” na eksploatację złoża w filarze ochronnym miasta Polkowice. A zezwalając nakazał kierownikowi kopalni i władzom miasta podpisanie porozumienia określającego granice obowiązków i kompetencji obu stron w sprawie należytej ochrony powierzchni przed szkodami górniczymi.

Porozumienia do dziś nie podpisano. „Rudna” bowiem kategorycznie odmawia przyjęcia propozycji władz miasta, która brzmi: „Macie za wszystko płacić i wszystko robić”. „Rudna” po i chcemy płacić, ale od robienia jesteśmy wy. Jednak nie jesteśmy tacy nie trochę wspomóc”. Taka propozycja jednak miastu nie odpowiada.

Końca przetargów nie widać. A roboty — coraz więcej.

W tym roku KGHM, chociaż to nie jego obowiązek, rozpoczął w Polkowicach wstępne prace przy budowie

bloku z mieszkaniami zastępczymi dla właścicieli prywatnych posesji. Bo chcąc wyremontować stare budynki trzeba wysiedlić ich mieszkańców — i KGHM siedziło to dla miasta. Inicjatywa spotkała się z aprobatą: „To jest współpraca!”.

Współpraca?

Jeśli tak ma ona wyglądać, to warto zmusić kombinat, aby w ramach reparacji nie tylko budował domy, ale jeszcze nimi administrował, przejął miejską komunikację, sadził kartofle, hodował świnię i wypróżniał szamba...

Nie, to nie jest bezsensowna myślowa galopada. Administracja terenowa w praktyce zmierza do tego, aby uczynić z KGHM śmietnik, do którego można wrzucić śmieci, a wyjąć złote jajo.

Szczyty tupego osiągnęło WPHW żądając zwrotu kosztów za uszkodzone, rzekomo podczas wstrząsu sejsmicznego, kosmetyki. Do żądania załączono spis inwentarzowy: szminka nr 131 — 1 szt., szminka nr 182 — 1 szt., krem „nivea” — 1 szt. — i tak dalej i tak dalej w tym stylu. W sumie ze 30 pozycji.

Koniec świata. Świata?

8. Było tak: We wsi Sobin wskutek wstrząsu parasejsmicznego zawałił się dach na stodole. Właściciel, gospodarz indywidualny, wystąpił do KGHM o odszkodowanie — wiadomo — szkody górnicze. Powołano komisję ekspertów. Okazało się, że więźba dachowa była zupełnie spróchniała i przy wstrząsie — rzecz zrozumiała — musiała runąć.

Tu znów wracamy do idei stref ochronnych. Budynki znajdujące się w tej strefie, nawet wiekowe, muszą być utrzymywane w odpowiednim stanie technicznym, aby wskutek ruchów ziemi uwolnionych eksploatacją górniczą, nie uległy uszkodzeniu i nie stanowiły zagrożenia dla zdrowia i życia ludzi.

Właściciele prywatnych posesji nie muszą umieć ocenić stanu technicznego swych majątków. Ale ich obowiązkiem jest dbanie, aby ten stan odpowiadał obowiązującym normom i przepisom budowlanym. Zresztą to samo dotyczy uspołecznionych posiadaczy. Instytucją, która ma obowiązek rozjaśniać mroki niewiedzy jest nadzór architektoniczno-budowlany, który powinien, co jakiś czas przeprowadzać choćby pobieżną kontrolę obiektów i w majestacie prawa wydawać polecenia dokonania niezbędnych remontów. W praktyce tak nie jest.

W praktyce nikt niczego nie kontroluje.

W wyniku wstrząsów wala się więc nadwątłone dachy, ściany wpadają do mieszkań. A kopalnie miedzi od lat przypominają administracji terenowej o obowiązku uaktywnienia inspekcji budowlanej. Z tych wypominków można by już złożyć całe tomy.

I nic.

Podczas wizyty w kombinacie powiedział mi inżynier B.: „Panuje powszechny pogląd i w społeczeństwie, i w administracji, że jeśli popsuł, to niech naprawia. Nie ma znaczenia, że zawałiła się psia buda, którą i motyl by przewrócił. A przecież złoża nie przeniesiemy, ono jest tu, gdzie jest i musimy z nim żyć. Trzeba więc pogodzić się z tym i rozumieć, że stawia ono określone wymagania nie tylko nam — górnikom — lecz wszystkim bez wyjątku, którzy tu żyją”.

9. Jeszcze refleksja. LGOM jest jednym z najnowocześniejszych okręgów przemysłowych — naszą dumą narodową. Zrodził się w niespełna ćwierć wieku. Szczycimy się jego rozmachem, bogactwem, zawartością postępu, nowatorstwem. To wszystko kończy się jednak tam, gdzie zaczyna się obszar panowania szkód górniczych — tu zaczyna się poziom buszu. Tragiczny paradoks: wybudowaliśmy kopalnię wybiegając w XXI wiek („Rudna”), a w dziedzinie ochrony powierzchni, a raczej we współpracy nad jej ochroną, tkwimy jeszcze w XVII wieku. I pachnie zaściankami.

A przecież wystarczyłoby pojechać na Śląsk czy bliżej, do walmbrzyckiego zagłębia, popatrzeć i zapytać jak oni to robią.

Bo robią. I to przyzwyczajenie.

Sąsiedzi śmiali się. — Chcesz budować chlewnię? W gromowcach cię świnie zjedzą! Wątpliwości miał także naczelnik: — A da pan radę? Przemyslał pan tę decyzję? — i tak dalej...

Kalkowsky uparli się. Będą budować chlewnię — i to nie byle jaką, na dwieście sztuk świń. Ich decyzja mogła wydawać się karkołomna. Mieli zaledwie sześć hektarów ziemi, żadnych maszyn, dwie krowy, cztery świnię... Połączony z oborą dom był wilgotny i zagrzany, przepływająca o parę kroków rzeczka co wiosną wylewała, a brudna, mętna woda przedostawała się za progi, zalewała sprzęty i dobytek. Nie, stanowczo Kalkowsky nie należeli do liczących się gospodarzy w Zagrodnie. Postawili co prawda niedawno stodołę, dokupili hektar ziemi, kupili ciągnik — ale nikt nie przypuszczał, aby ośmielili się rzucać wyzwaniem całej wsi, liczącej 180 gospodarstw, z których co drugie miało więcej ziemi i lepsze wyposażenie. A jednak udało się. Chlewnia powstała w rekordowym tempie, w pół roku. Co prawda był rok 1977 — szczytowy boom dla gospodarstw specjalistycznych. W roku następnym, 1978, Kalkowsky sprzedali ponad dziesięć ton żywca (tuczniaki i warchlaki), w 79 — już 32 tony. Przez następne lata produkcja spadła i wahała się między 20—25 tonami rocznie, ale w tym roku Kalkowsky sprzedają znów 30 ton mięsa wieprzowego. W przeliczeniu na normy reglamentacyjne to jedno gospodarstwo żywi przez rok tysiąc mieszkańców. Żeby nie było żadnych wątpliwości dodam od razu: hodowla oparta jest na paszach własnych.

Sukces ma wielu rodziców, w tym jednak wypadku można powiedzieć, że Anna i Józef Kalkowsky zawdzięczają go przede wszystkim sobie. Pobrali się w 1957 roku, kiedy to Józef, kawaler po wojsku, przyjechał z poznańskiego do Zagrodna odwiedzić krewnych. Ożenił się z gospodarką córką — ale na gospodarstwie nie bardzo było co robić. Liczyło pięć hektarów ziemi, należało do matki Hanki. Żył jeszcze ojczym Hanki, w domu był także starszy brat, unieruchomiony po chorobie Heine-Medina. Józef poszedł do pracy do kopalni. Po szychcie na dole zaprzęgał konia, pomagał w polu — i jakoś się żyło, trochę gotowego grosza przy wypłacie ratowało gospodarski, kulawy budżet.

— Co to takie gospodarowanie! — wspomina Kalkowski. — Teści był słaby, szwagier chodzić nie może, jeszcze przy nim trzeba zrobić, teściowa i żona i tak miały zajęcie. W gospodarstwie trzeba chłopca. Zwolniłem się z pracy w „Konradzie”, zrobiłem kurs rolniczy. W sześćdziesiątym dziewiątym teściowa przepisała na nas gospodarke. Zaraz myślałem, aby dokupić ziemi. Na pięciu hektarach — ani co uchronić, ani się dorobić. Żona też ma kurs rolniczy, jak gospodarzyć, to porządnie.

— A jakże, też śmiali się ze mnie. Na zebraniu Koła Gospodyń Wiejskich instruktorka powiedziała, że taki kurs będzie organizowany, a ja — że bym chciała się zapisać. No i wtedy się nasłuchałam, mężczyźni chodzili, to nie dziwne, ale kobieta? Byłam pierwszą kobietą, która się zgłosiła, ale zaraz potem to się i inne gospodynie zapisały. I nie żałowałam, dużo pożytecznych rzeczy się nauczyłam, to już zostaje na całe życie.

Zabrali się do gospodarstwa. Marzeniem pani Hanny był nowy dom: „Tak sobie mówiłam, że choćby za ostatnie grosze, to dom muszę wybudować, bo przez tę wodę nie było życia. Jak wylała rzeka, to i podłogi zalane, i meble. Raz przeżyliśmy powódź — w domu woda do pasa, myślałam, że już świń nie uratujemy. Od wilgoci i grzyba mam reumatyzm”.

Pilniejsza była jednak stodoła. Wybudowali ją zaraz po przejściu gospodarstwa. Konia zamienili na ciągnik, dokupili 1,30 ha ziemi. Dzieci podrosły i pomagały rodzicom.

— Od małości szli z nami w pole, i w domu zrobili wszystko co trzeba. Sami chłopcy! Jak się urodził czwarty, stanęli nad nim i słysze, jak rozmawiają.

— Szkoda, że to nie dziewczyna — mówi Zbyszek. — Zmywałaby za nas naczynia.

— Ty głupi! — Krzysiek na to. — Lepiej, że chłopak! Weźmiemy go na boisko, będzie grać z nami w piłkę!

Krzysztof jeszcze teraz, w niedzielę, żonę i dzieci zostawił w domu, a sam na mecz — kopać piłkę...

Po Janku urodził się jeszcze piąty syn — Marek. Ma dopiero jedenaście lat, ale też chleba za darmo nie je. To krowę wydoi (dojarka, a jakże), ciągnikiem podjedzie, pomoże nakarmić świnię. Pracowity, jak czterech pozostałych.

Dzieci to chyba sukces Kalkowskich największy.

— Dzieci mamy dobre. Wyrosły, ale co powiem ja, albo żona — posłuch jest. I synowie też się udali. Chłopaków do wódki nie ciągnie, zresztą, jaki to rolnik, co przesiaduje w knajpie. Albo się pilnuje roboty, albo kieliszka. Dzieci zawsze robiły wszystko, czy bratu żony posłużyć, czy w polu. Jak ziemię kupiliśmy, było komu obrobić. Krzywdy też im się nie robiło.

— Budowali z nami stodołę i przy budowie chlewni pomagali. Jak sprzedaliśmy pierwsze warchlaki, to mówię do męża, potrzebna im jakaś zachęta. Dostaliśmy 360 tysięcy i kupiliśmy duży fiata, niech wiedzą, że jak się pracuje, to jest nagroda. Nie może tak być, żeby tylko harowali.

— Krzysztof, Zbyszek, Janek, skończyli technikum rolnicze. Jeszcze w szkole byli i tak mnie do tej chlewni namawiali, że mówię: „Hanus, idę do gminy. Obmyśliłmy wszystko i że

U mnie nauczeni są do tej pracy i mają zadowolenie. Jak się robi, to i zemia rodzi. Chociaż ja teraz na pole mało wyjdę, kobieta ma dużo pracy w domu, w polu wszystko prawie robią nasi maszynami. Ale nie mogłabym z dala od wsi, lubię chociaż popatrzeć, posłuchać, co na polu. W mieście czuję się jak w klatce, jak pojedę do siostry, to zaraz mi się nudzi.

— Jak w telewizji nieraz widzę — stoi taki dziadek czy babka z molyką i wola — to moje, ja się stąd nie ruszę, to się nie dziwie. Mam drugą grupę inwalidzką, ale jakbym przestał pracować, to bym się źle czuł, to już skończony człowiek.

— Ojciec cały tydzień w polu, a w niedzielę jeszcze weźmie rower i jedzie zobaczyć, jak rośnie.

☆

Rozmawiamy już w nowym domu. Kalkowsky wprowadzili się do niego rok temu — „Na 22 Lipca, żeby uroczyście,

Ziemi i sobie

Agnieszka Szydłowska - Szczecińska

trzeba dokupić ziemi, bo co to za chlewnia bez paszy. Tu niedaleko jest taki, co chował tylko na paszy kupnej i bardzo źle na tym wyszedł, jak się gotowa pasza urwała. Teraz to ja tylko słyszę — tata, tyle trzeba kupić nawozu, a to trzeba załatwić, a tamto. Fachowcy są, można powiedzieć.

— Mnie na radnego GRN wybrali, trzeba było po zebraniach, a oni sami sobie radzili. Ale tak powiem szczerze, to ja tam byłem nie w smak. Takich co krytykują, nikt nie lubi. A mnie nerwy nieraz poniosły, jak się na przykład mówiło, że u nas zbierają po 70 metrów z hektara. Jak ja — mówię — zbiorę 53, a w terminie wszystko obrobione, jak trzeba — to te hektary chyba z gumy... To mnie uciszali i kazali cicho siedzieć. A siedzieć, to ja czasu nie mam. Statystą być, to nie ma po co.

— Najstarszy, Kazimierz, zamilowania do rolnictwa nie miał. Skończył szkołę stolarską, a jest górnikiem. W Lubinie sobie mieszka. No, a Janek szkołę rolniczą skończył, wszystko niby robi, ale też zamilowania nie ma. Teraz złożył papiery na AWF, za tydzień ma egzaminy. Niech się uczy.

— Krzysztof już też na swoim, to jego ten drugi „bliźniak”, a Zbyszek z nami tutaj. Miesiąc temu się ożenił. To urodzony rolnik i maszynę naprawi, jak trzeba. Zmyślny taki, że ho, ho!

— To jest tak: rolników jest dużo, ale z prawdziwego zamilowania, to nie

no i żeby pamiętać”. W kuchni przygotowuje obiad Marzenka — synowa. Kuchnia gazowa, łazienka wyłożona kafelkami, pralka automatyczna. Nowoczesność w domu, nowoczesna chlewnia, dwa ciągniki, samochód, kombajn... Kalkowskim powodzi się dobrze, to wiadać. Dobrobyt kluje ludzi w oczy, kiedy kupili samochód, ludzie mówili, że dostali za darmo. Kiedyś w stanie wojennym zjawiała się na podwórzu liczna komisja. Obejrzeni chlewnię, stodołę, zgromadzone maszyny.

— Ale pan tego nachapał! — wyrwało się komuś z komisji.

— Nachapałem — to znaczy jak? Ukradłem? — rozłożył się Kalkowski.

— No, nie, że pan tyle kupił... — wykręcił się zmieszany wizytator.

Kalkowski nie już nie dodał — ale podobne komentarze wyprowadzają go zawsze z równowagi. „Jakby człowiek wziął za darmo, albo ukradł, to by się musiał skradać” — mówi. I dodaje, że o rolnictwie, nowoczesnym rolnictwie — niewiele ma pojęcia. Na przykład, kiedy dostał zezwolenie na budowę chlewni, a aż do wojewody musiał jechać, aby pozwolili dokupić ziemi. A co to za interes kupować paszę? Jasne, że hodowla się opłaca, ale wtedy, gdy ma się pasze własne. Dobrze to z synami obliczyli jeszcze przed budową chlewni. Mają ponad trzydzieści hektarów, koniem tego nie obrobi. Na usługi nie można liczyć, nie raz i nie dwa odsyłali go z kwitkiem, chociaż wysyłali

maszyny do takich, co mieli do zebrania pół hektara. Własne maszyny to po prostu konieczność, jeśli się chce wszystko zrobić w terminie i solidnie. Dzięki temu są te pasze własne, kupują tylko Provit dla prosiaków jako dodatek, aby szybciej rosły. Robią tak od założenia chlewni — wiosną i latem lucerna z niewielką domieszką paszy zbożowej, jesienią i zimą buraki pastewne albo wysiodki. Próbowali też ziemniaków, ale wychodzi za drogą. Jako jedyne we wsi gospodarstwo specjalistyczne z nowoczesną chlewnią wzbudziło zainteresowanie WOPR-u. Z Piotrowic przyjeżdżali instruktorzy, a gdy znaleźli rolnika chętnego do współpracy, zadowolili się tu na dobre.

— To byli prawdziwi rolnicy. Inżynier Przytocki, Stelmach, Horodyński, byli codziennie u mnie. Ja jeszcze jem śniadanie, a oni już z pola wracają. Miałem różne poletka doświadczalne, radzili nowe odmiany. To oni zalecili, aby w lecie karmić świnię lucerną. Teraz dowożę jeszcze z mleczarni ze Złotorii serwatki. Kosztuje grosze, a warchlaki, jak się napiją, okraglutek jak kluski, miło popatrzeć. Co ci z WOPR-u doradzili, to na dobre wyszło. Kiedyś miałem przyorać rzepak, ale przyjechał inżynier Przytocki i mówi, „panie Kalkowski, niech pan jeszcze trochę poczeka, ja widzę, że on z boku wypuszcza listki”. Poczekalem i zebrałem 26 kwintali z hektara. A w tym roku jaki mam rzepak, wysoki na metr osiemdziesiąt, a gęsty! To też zależy od siewu. Kiedyś siał się po 150 kilo zboża na hektar, teraz chłopcy siewą 307—310 kilo. Teraz są nowi instruktorzy, rzadko się pokaza i już nie ma tej współpracy. Szkoda, bo to zawsze coś nowego, ja lubię się czegoś nauczyć.

Z nieukrywaną dumą oprowadzają mnie Kalkowsky po swoim obejściu. O, tu stary dom — nad samą rzeką. Duży, owszem, siedem pokoi, tylko ta woda. Przed nowym domem jeszcze błoto — tu będą kwiaty, żona i synowe posadzą, tu chodnik. W chlewni 210 warchlaków, na podwórzu świeżo przywieziona lucerna, a w beczkowozie serwatka, a tu, w stodołę, Zbyszek, podaj drabinę — zboże na paszę, proszę zobaczyć. A w domu, przy kawie, Kalkowski jeszcze raz wylicza:

— Kazimierz — już urządzony, pomogło mu się, zresztą, górnik, zarabia dobrze. Krzysztof także, dostał w wianie pół bliźniaka i dziesięć hektarów ziemi. Zbyszek przy rodzicach, przejmie gospodarstwo. Janek niech się uczy, wyposaż go się, jak skończy studia. I Marek. Smarkaty, ale też rolnik z zamilowania. Za jakie dziesięć lat też trzeba będzie pomyśleć o jakiejś gospodarce dla niego, kupić kawalek ziemi.

— Ja już ciągnikiem jeżdżę! — wyrwa się Marek.

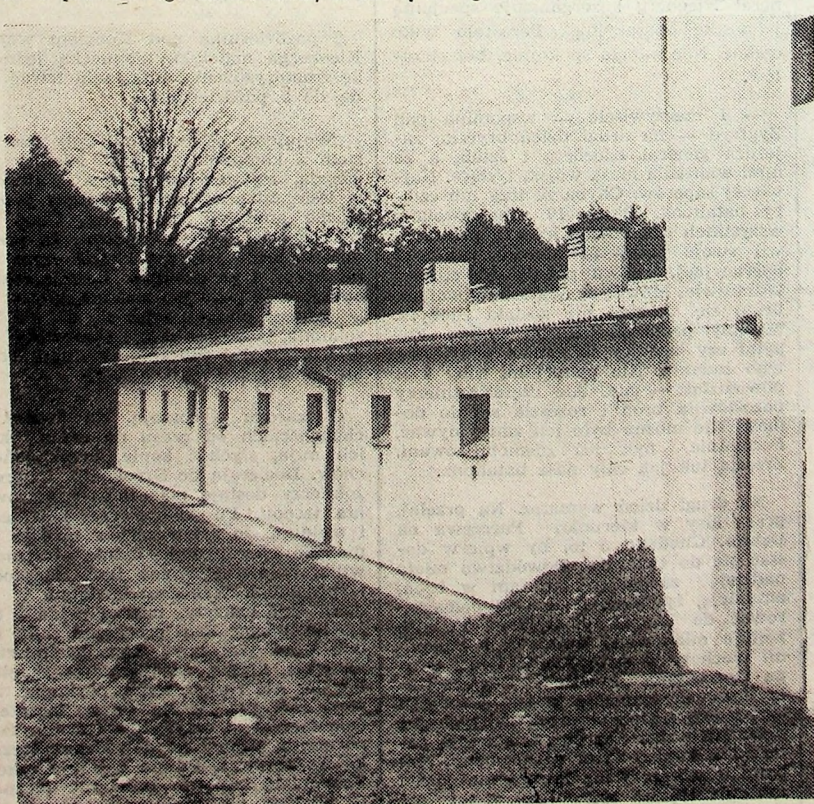
— Na rower masz prawo jazdy, to będziesz jeździł — droczy się Zbyszek.

— A ja, dziadziu? — pyta Ania, trzyletnia córka Krzysztofa, więcej przebywa u dziadków niż z rodzicami. Teraz zauważyła wejście prababki (osiemdziesiąt jeden lat!) i nie czekając na odpowiedź, podbiega do niej. Staruszka mieszka w starym domu.

— Oni myśleli, że ja tu z nimi będę. Dwa miesiące wytrzymałam. Mnie się tu nudzi, popatrz przez okno — tylko drzewa. A u siebie z łóżka widzę za rzeką, kto przechodzi, co się dzieje. U nich nawet pieca nie ma, a ja lubię plecy wygrzać.

Tak więc prababka wróciła do starego domu. Kłopot z tym, bo co raz zajrzeć trzeba, zanieść coś zjeść, posprzątać. Ale co poradzić na przyzwyczajenia staruszki? Babcia myśli po staremu. Denerwuje ją gaz w kuchni, niepotrzebna łazienka z kafelkami. Nowy dom nie ma dla niej żadnego uroku. Całe to zresztą ogromne i nowoczesne gospodarstwo nie przystaje do jej wyobrażeń o rolnictwie. Łączy je z babciowymi czasami jedno: pracy na roli nie można przeliczyć na godziny. Tyle tylko, że żyje się lepiej, wygodniej, bo czasu na odpoczynek i rozrywkę nie ma na wsi nadal. A jeśli jest — to i tak tu, na miejscu, nie ma gdzie pójść. Chyba do knajpy — a tego Kalkowsky „nie nauczeni”. Najczęściej odpoczywają więc po pracy w domu, w rodzinnym gronie.

— Zawsze mówiłam, że jak będziemy razem, to będzie lepiej, bo jeden drugiemu pomoże — kończy długą rozmowę pani Hanna.



Fot. Waldemar Sikorski

Tekst uzyskał III nagrodę w konkursie ZW ZMW na reportaż wiejski.

Pierwszego września, 45 lat temu ZYGFRYDA PIEKUTHA obudził warkot nisko lecących samolotów i detonacje eksplodujących bomb. Wyskoczył przed dom. Patrzy — bomby lecą na fort Bema i koszar pułku artylerii. Boernerowo (obecnie Bemowo), podwarszawskie osiedle, w którym mieszkał pan Piekuth znajduje się pośrodku, pomiędzy jednym i drugim obiektem ataków lotniczych. Pobliski wybuch rzuca żonę i dziecko na parkan. Nie ma gdzie się schować. Drewniany domek nie zapewni bezpiecznego schronienia. Chwyta więc za łopatę i w ciągu dwóch godzin schron jest gotowy. Chowa w nim również co cenniejsze rzeczy, a także album, książki, ubrania. Później ktoś spenetruje kryjówkę, ocaleją tylko książki i rodzinny album.

Zygfryd Piekuth jest podporucznikiem rezerwy. Tuż po studiach, w 1925 roku kończy podchorążówkę. Bierze więc do ręki kopertę z napisem: „otworzyć na wypadek wojny”, którą dostał jakieś dwa lata wcześniej czyta: „Zgłosić się do 1 Batalionu saperów w Modlinie”. Przywdział mundur, przypasał broń, pośpiesznie pożegnał się z żoną i córeczką.

Z okien tramwaju, gdzieś w okolicy Wolskiej dostrzegł pierwszy wypalony dom. Bombardowanie trwa. Co chwilę tramwaj zatrzymuje się, a pasażerowie kryją się po bramach. Wreszcie dociera do Dworca Gdańskiego. Pociągi jeszcze chodzą. W drodze do Modlina znów przymusowe przerwy w podróży. Ostrzeliwany pociąg dojeżdża jednak do Modlina. Podporucznik Piekuth melduje się w koszarach.

I na Modlin syją się bomby. Z okien koszar obserwuje plac zatłoczony chłopskimi podwodami — chyba jakieś 800 furmanek. Nadlatują samoloty. Plac zamienia się w jedną wielką jatkę: konie z rozplatanyimi brzuchami leżą do góry nogami. Chłopi kryją się pod furmankami, ale niewiele to im daje. Ginią, jedni od bomb, inni straceni przez konie, przysięgnięci przez wozy.

Ogólny bałagan. Konsternacja. Nie ma co zjeść. Nikt nie wydaje rozkazów. Zamieszanie pogłębia chaos sprzecznych informacji. Ktoś wpada i krzyczy, że Niemcy są już u bram Modlina, co okazuje się nieprawdą. Ktoś zarządza zamurowanie bramy Zakroczymskiej od strony Prus Wschodnich.

Następnego dnia, godzina 5 rano — alarm: Niemcy zbliżają się do Modlina! Alarm okazuje się fałszywy, jednak wymarsz już zarządzone. Zygfryd Piekuth zostaje mianowany oficerem ewidencyjnym. Do niego należy ewidencja członków batalionu. Dostaje kilka ocalałych furmanek i ładuje na skrzynie z dokumentacją. O godzinie 7 rano batalion, a właściwie jego część kadrowa, bo pozostali są na froncie, opuszcza twierdzę Modlin. Maszerują przez Nowy Dwór, Mińsk Mazowiecki, w kierunku Lucka. Nękani z ziemi i powietrza, przemierzają ponad trzysta kilometrów. 17 września stają w Lucku. Jeszcze nie wiedzą, że tego dnia, dokładnie o 3 nad ranem rząd radziecki wręczył polskiemu ambasadorowi w Moskwie notę informującą o warunkach przekroczenia przez Armię Czerwoną granicy z Polską.

Tego dnia Piekuth ma służbę. Wychodzi z plutonem do miasta. Około 11 pojawiają się Rosjanie. Początkowo patrole nawet salutują sobie. Ale już parę godzin później patrzą na siebie z coraz większą rezerwą. Patrol wraca do dowództwa i melduje o sytuacji w mieście. Dowództwo i tak już sposobi się do opuszczenia Lucka. Na stacji czeka pociąg, składający się z dwóch lub trzech wagonów osobowych dla oficerów i kilkunastu towarowych dla żołnierzy. Jeden wagon wypełnili zarekwirowaną w miejscowej fabryce szynką w puszkach i papierosami „Junak”. Tylko chleba brakowało. Wieczorem pociąg opuści Luck i skierował się w stronę Brześcia.

Bez kłopotu dotarli do rzeki Muchawiec, ale dalej ani rusz — most wysadzony. Od Brześcia oddziela ich tylko rzeka. Cofają się do najbliższej miejscowości, a jest nią Małoryta — przedwojenne sanatorium Kasy Chorych w Warszawie. Wieczorem narada — co dalej? Dowództwo zdecydowane — wiadomości z toczących się walk skąpe i sprzeczne. Trzeba zacząć od zwiadu. Do Brześcia zostaje wysłanych dwóch podoficerów znających teren. Przebrani w cywilne ubrania wymykają się o

Ostatnia bitwa

Maria Kuncaitis

zmroku, mają powrócić rano. Wojsko zostaje w wagonach.

Na drugi dzień Zygfryd Piekuth znów miał służbę. Było chyba około 6 rano. Pobliską szosą, w kierunku pociągu zmierzają dwa czerwone autobusy. Zatrzymały się na lewo od pociągu. Z autobusów wyskoczyli Niemcy w hełmach i z bronią. Rozstawiają się wzdłuż pociągu. Do pierwszego wagonu podchodzi podoficer niemiecki i mówi: „Jestem Ślązak. Wojna już się skończyła. Idźcie do domów. Zostawcie tylko karabiny”. Żołnierze zaczęli wychodzić, z pierwszego wagonu, z drugiego. Gdy zbliżyli się do trzeciego, z wagonu padły strzały. Kilku Niemców upadło. Podoficer zdębiał. Wiedział, że wdawanie się w strzelaninę nie miało sensu. Było ich tylko kilkunastu. W tym momencie na miejsce zdarzenia przybywa oficer służbowy — Zygfryd Piekuth. Przerywa strzelaninę.

— Po coś tu przyszedł? — pyta Ślązak.

— Przysłali mnie z Brześcia. — odpowiada. — Mam was nakłonić do poddania się. Żołnierze puścimy wolno. Tylko oficerów zatrzymamy.

— Ale nam to nie odpowiada. Uciekaj pókiś cały.

Zabrali rannych i zabitych do autobusu i odjechali. Między 9—10 wrócił zwiad. Mówią, że w Brześciu są Rosjanie i Niemcy. Początkowo dowództwo zamierzało cofnąć się w kierunku Lucka i tam zdemobilizować się. Ale okazało się, że tamte tereny też już są zajęte. Wobec tego zapada decyzja, by zdemobilizować się na miejscu, w Małorycie. Wszyscy dostają poświadczenia o demobilizacji, wypisane na karteczkach wyrwanych z notesu i podbite pieczęcią pułkową. Każdy z oficerów dostaje do ręki po 10 tys. zł, z kasy batalionu. Gdy Piekuth dowiaduje się o wypłacie (pełnił w tym czasie służbę), w kase są już tylko trzy tysiące... W momencie gdy wszystkie czynności poprzedzające demobilizację zmierzają ku końcowi, przy pociągu pojawia się ułan na koniu. Mówi: „Nie ruszajcie się stąd. Małoryta będzie miejscem koncentracji wojsk cofających się z centralnej Polski w kierunku wschodnim. Przyjedzie generał Kleeberg i zorganizuje specjalną jednostkę operacyjną”. Pozostało tylko czekać. Noc minęła spokojnie, bez strzałów.

I rzeczywiście — wspomina pan Zygfryd — na drugi dzień bryczka zajechała generał Kleeberg i sztab, a z nimi wali cała masa wojsk, tysiące. Najwięcej saperów. Chyba ze trzy lub cztery bataliony. Około 10 rano zwołano wszystkich oficerów. Kleeberg przedstawił swoje plany utworzenia jednostki operacyjnej, która podąży na odsiecz Warszawie. Mówił, że Warszawa walczy, broni się. Jeszcze nie została zdobyta. Musimy przedrzeć się do stolicy. Zapytał czy wszyscy są gotowi podjąć się tego zadania. Nie pamiętam, żeby ktoś powiedział — nie. Ale część żołnierzy pozostawiła broń i rozeszła się do domów. Nie można było ich zatrzymać. Formalnie byli już zdemobilizowani. Zresztą tak jak cały nasz batalion...

Na drugi dzień wymarsz. Na przelaj, przez lasy w kierunku Parczewa na Dęblin. Chodziło o to, by wstępnie dostać się do twierdzy. Dowództwo miało nadzieję zaopatrzyć się tam w broń, amunicję, żywność. I stamtąd pomaszerować do Warszawy. Zygfryd Piekuth zostaje mianowany dowódcą I kompanii piechoty w dywizji płk. Deca. Grupa Operacyjna „Polesie” — tak została nazwana formacja wojsk Kleeberga — posuwa się po terenach zajętych już przez Niemców. Raz po raz staczą się pociągi z miejscowymi garnizonami, słabymi liczebnie. Wróg jeszcze nie zdążył umocnić się na zagarniętej ziemi. Ale strzał mógł paść w każdej chwili.

„Wjechaliśmy do jakiegoś miasteczka. Przede mną na koniu jedzie kapitan. Podciągnąłem swojego wierzchowca i wyprzedziłem go o jakieś 20 kroków. Zawracam, równam się z nim, a on mnie ruga, że pozwoliłem sobie wyjechać przed oficera wyższego rangą. Tłumaczę się iż sądziłem, że w warunkach wojennych nie ma to znaczenia. Ale ja sobie tego nie życzę — rozsierdził się kapitan. Przeprasiłem i wróciłem do swojej kompanii. Ujechaliśmy może 50 kroków, gdy z I piętra domu ktoś strzelił. Kapitan spadł z konia. Nie żył. Wojsko otoczyło wieś. Po dokładnej rewizji znaleziono trochę broni, za-



krwawiony mundur polskiego generała, wyciągnięto kilku podejrzanym mężczyzn. Ale bliżej się tą sprawą nie zajmowałem. Musiałem zakwaterować i zaoprowizować swoją kompanię. Tyle do mnie dotarło, że była to miejscowość zamieszkała przez wroga nam na stanowioną ludność ukraińską. Nad ranem na kwaterze jakiś miejscowy wyrostek usiłuje wyciągnąć mi spod głowy pas z bronią. Złapano za rękę, zdołał jednak umknąć”.

2 października pod Kockiem wojsko Kleeberga napotyka niemiecką jednostkę zmotoryzowaną. Zmagania trwać będą do 5 października.

„Wojujemy z Niemcami. Cały czas jesteśmy z kompanią na linii. Niemcy nacierają, my ich odieramy. Walczymy w lesie, to nasz odcinek. Mamy jeszcze trochę amunicji. Strzelamy. Choć coraz bardziej jesteśmy pewni, że przyjdzie moment, gdy nie będzie czym nabijać broni. 4 października dostaję rozkaz opuszczenia pozycji i zadanie, aby w siłę jednego plutonu udać się do wsi Syrokomla, gdzie ma swoje stanowisko artyleria. Im już zabrakło amunicji. Trzeba ich stamtąd wyczołgać”.

O zmroku wyruszają. Na drodze w ciemnościach od czasu do czasu ktoś ich mija, słychać konie, brzęk łańcuchów. Docierają do Syrokomli. Czterech żołnierzy dostaje polecenie spenetrowania terenu. Po jakimś czasie wracają i meldują, że artylerzystów nigdzie nie ma. Na uboczu stoi ładnie utrzymana willa. Żołnierze ciągną tam. Są głodni i spragnieni. Wchodzą do domu. W jadalni stół nakryty, talerze pełne i ani żywego ducha. Ktoś przekreślił galkę radia. Mówi Warszawa. Zapadła śmiertelna cisza. Słyszą, że Warszawa skapitulowała. Ale rozkaz trzeba wykonać. Jeszcze raz przeczesują teren, łącznie z cmentarzem — artylerii ani śladu. Podporucznik pchnął do dowództwa łącznika na rowerze. Pluton zajmuje szkołę. Telefonista próbuje nawiązać łączność ze sztabem, ale w słuchawce słyszy tylko jakieś niezrozumiałe niemieckie sło-

wa. Łącznik nie wraca, więc drugi jedzie jego śladem. Czuwają całą noc, boją się zaskoczenia. Nad ranem popadli w krótką drzemkę, a gdy się obudzili zdumieni spostrzegli, wokół budynku setki żołnierzy, sami szeregowcy i podoficerowie.

— Skąd się tu wzięliście? — pyta Piekuth.

— Generał Kleeberg skapitulował, a myśmy uciekli — odpowiadają.

Żołnierzy przybywa. Nie wiadomo co robić. Jedyni oficerowie w tej całej masie to Piekuth i jego zastępca podporucznik — Marian Benko. Chwila debaty nad mapą. Nie zamierzają dowodzić tymi żołnierzami. Bo gdzie ich prowadzić? Bez broni, bez znajomości sytuacji. Kleeberg poddał swoje wojsko. Dalsza walka na własną rękę nie ma sensu. Ci żołnierze powinni wrócić do domów. Jeszcze nie mogą uwierzyć, że to już koniec. Nie rozumie klęski prosty żołnierz, którego zawsze zapewniano, że jesteście silni, zwarci i gotowi...

Oficerowie zbierają swój pluton i wyruszają w kierunku Łukowa. Dlaczego do Łukowa? Szukają po prostu jakiegos oparcia. Najważniejsze, by nie wpaść w ręce Niemców i nie dostać się do niewoli. Za nimi jak cień podążają żołnierze, resztki armii Kleeberga. Obaj oficerowie nie mogą temu zaradzić. Idą skrajem lasu. Od strony Stoczka nadlatuje niemiecki samolot zwiadowczy. Pada komenda — „kryć się”. Ale ci z tyłu strzelają w górę. Samolot odlatuje. Idą dalej. Nagle z lasu wyskakuje żołnierz. „Kto idzie?”. W krzakach siedzi jeszcze kilku ułanów, mówią, że są z brygady Kmicic-Skrzyńskiego. Wdali się w rozmowę, a właściwie sprzeczke, kto komu powinien zameldować się, gdy jakiś jeździec krzyczy — czołgi! Wojsko rozsypało się. Tyraliera biegną w kierunku szosy. Beładnie strzelają do zmotoryzowanych patroli. Wymiana ognia nasila się, wielu żołnierzy ginie, reszta przeskakuje szosę. Oficerowie zostali sami, skryci za wysokim parkanem folwarku. Czołgów nie widać. Nie mają już kim dowodzić.

Podchodzą do wsi — Czerszl. Bardzo chce się pić. We wsi krzyk — uciekajcie! Tu są Niemcy! Przed jedną z chałup stoi żołnierz oparty o płot. „To wy też saperzy?” — jakby się ucieszył. Zaprasza do zagrody. Żona lamentuje: „Niemcy nas rozwalą!”. Zaprowadził oficerów do stodoły na siano. Z miejscy posnęli. Nazajutrz rano od gospodarza dowiedzieli się, że jeszcze tego samego dnia, wieczorem byli tu Niemcy. Szukali polskich żołnierzy, wyciorami kłuli siano...

Postanowili wracać do swoich domów. Miejscowy krawiec odsprzedał im garnitury. Nauczycielka, uradowana widokiem polskiego żołnierza, przyniosła krawaty i kapelusze. Nie ukrywała, że podoba jej się młodszy z oficerów — ppor. Benko. Wybrała się na zwiady do Łukowa. Opowiadała, że dużo jest tam polskich żołnierzy i Rosjan, którzy ludności rozdają po bochenku chleba na głowę. Po sześciu dniach gotowi byli do drogi. Gospodarz suto opłacony zarządkował dowieszenie ich pod Stoczek. W razie rewizji wszystko by się wydało. Na dnie wozu pod słomą leżał płaszcz i koc żołnierski, których Piekuth nie chciał się pozbyć. Na jednym z rozwidleń dróg zostali nawet zatrzymanii przez Niemców, ale chodziło im tylko o wskazanie drogi do Łukowa. Chłop dowodził obu oficerów pod wskazany adres — do znajomego Bence dziedzica. Dobę odpoczęli we dworze. I w drogę. Benko został w Mińsku Mazowieckim, gdzie miał rodzinę, a Piekuth rusza dalej. Do Warszawy, do Boernerowa. Odnalazł żonę. Zamieszkali w sąsiednim budynku za zgodą właścicielki, która wyprowadziła się do Warszawy. Ich dom był na wpół zrujnowany od bomby i zajęty przez jakichś ludzi.

14 grudnia o godzinie 5 rano — przysłali Niemcy. Wyciągnęli z łóżka. Zabrali na Dworzec Gdański. Około południa, pociąg załadowany polskimi oficerami ruszył w głąb Niemiec. Do Murnau. Pięć i pół roku w niemieckiej niewoli, za drutami. Ale to już odrębna karta w bogatym życiorysie Zygfryda Piekutha — żołnierza Września.

Długo zastanawiałem się, jak zatytułować opowieść o stolarzu, którego trzydziestolecie pracy zawodowej spłata się nieomal w całości z historią MPK i WPK w Legnicy. Myślę, że postawienie wspólnego mianownika między tym, co jednostkowe i niepowtarzalne, a tym, co obiektywne, stanowi formułę najszcześliwszą. Józef Szelest swoje życie zawodowe związał z komunikacją. Jego praca — to także cząstka tej historii i historii miasta...

Jest rok 1945. 15 maja powstaje Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne, które w listopadzie uruchamia trzy linie tramwajowe obsługiwane przez... 3 stare tramwaje. W 1946 roku MPK wzbogaca się o cztery dalsze wozy silnikowe i trzy doczepy tramwajowe. Uruchomiono także linie trolejbusową na trasie Dworzec Główny — ul. Długa (dziś Świerczewskiego). Tego też roku przyjeżdża do Legnicy 8-letni Józef Szelest z matką. W PUR matka otrzymała wiadomość, że tu może znaleźć męża i brata. Niestety. Mąż, dwukrotnie w niewoli niemieckiej, nie przysyłał od dawna listów, a w Legnicy go nie znaleźli. Ale nie było po co jechać dalej. Matka Józefa była chora. Zamieszkała na sublokatorce. Na 8-letniego chłopca spadł podwójny obowiązek: uczyć się i utrzymywać siebie i matkę. W ogródku posadził kwiaty, które chłopiec sprzedawał rano na targu. Lekarstwa były drogie. Żyli bardzo biednie. W rok później odnalazł się ojciec — był w dalekiej Norwegii, gdzie przebywał przez jakiś czas w jenieckim obozie pracy...

Rok 1951. MPK wzbogaciło się o dwa autobusy. Oprócz tego kursowały dwa trolejbusy i 14 tramwajów. Pierwsze autobusy służyły do przewozu pasażerów w przypadku awarii trolejbusów. Awarie niestety, były bardzo częste, a komunikacja miejska kursowała nieregularnie. Zrozumieć to będzie łatwiej, kiedy dodam, że miasto nie dysponowało nowym taborem. Stare, zdezelowane tramwaje i autobusy psuły się, a zanim ruszyły na trasę, przeprowadzano na bazie remontu kapitalny — bez fachowców, bez odpowiednich narzędzi...

W tym samym roku zmarł ojciec Józefa Szelesta. Lata spędzone w niewoli zniszczyły mu zdrowie.

W 1954 roku Józef Szelest kończy Zasadniczą Szkołę Zawodową Centralnego Urzędu Szkolenia Zawodowego w Legnicy i zdobywa zawód stolarza-okuwacza. Wśród 14 przedmiotów figurujących na świadectwie szkolnym, znajduje się także „nauka o Konstytucji” i obok „wychowania fizycznego” — „przysposobienie sportowe”. 16-letni chłopak podejmuje pracę w Spółdzielni Wyrobów Drzewnych (dzisiaj „Dąb”).

— Dostałem skierowanie do Technikum Budowlanego we Wrocławiu — wspomina dzisiaj. — Chciałem się uczyć, ale nie miał kto się mną zająć, opłacić internatu... Musiałem podjąć pracę, warunki zmuszały. Przyniosłem pierwszą pensję — 900 złotych. Bardzo byłem dumny, cieszyliśmy się z mamą bardzo — skończyła się nareszcie kłopoty!

W MPK w tym roku, odnotowano dalszy postęp: autobusy są „aż” cztery, tramwajów — 18. Nadal kursują dwa trolejbusy.

Rok 1957 — Józef Szelest przechodzi do pracy w MPK. Baza MPK mieści się wtedy przy ulicy Wrocławskiej (obecnie „Transkom”). Stolarze są w przedsiębiorstwie na waga złota — nadal tabor tramwajowy jest stary i wymagający ciągłych napraw. Drewniane tramwaje rozbiera się na części, naprawia, składa z powrotem — i znów mogą ruszyć na trasę, przewozić pasażerów. W MPK pracuje wtedy 158 osób.

Z uwagi na rozbudowę miasta, przystąpiono do uruchomienia regularnej linii autobusowej, która z czasem zastąpiła linie trolejbusową. W rok później, rozpoczęto kompletny remont torowisk i sieci trakcyjnej oraz przedłużono linie tramwajowe nr 2 i 3 o blisko 5 km.

Józef Szelest chce się jeszcze uczyć. 15 stycznia 1959 roku składa podanie o skierowanie na szkolenie „przysposobienie zawodowe w zakresie stolarskim”. Na pożytkowych formularzach widnieją trzy potwierdzenia: „wyrzaczam zgodę” — i podpis. Dzisiaj tak podstawowy błąd ortograficzny wzbudziłby wiele złośliwych komentarzy. Wtedy — było to



Fot. Janusz Budnicki

Wspólny mianownik historii

Agnieszka Szydłowska

nieistotne. Ważniejsze sprawy mieli ludzie na głowie... W 1961 roku Józefa Szelesta poddano egzaminowi komisji kwalifikacyjnej. Zdał go z wynikiem bardzo dobrym.

Z tego okresu Józef Szelest zachował w pamięci ambicję i zapal do pracy, które już teraz należą do rzadkości...

— Sami remontowaliśmy mieszkania — dali mi do remontu dom przy ulicy Złotoryjskiej, i tam miałem dostać mieszkanie. Nie pamiętam już jak to się stało, że mieszkania tego jednak nie dostałem w tamtym miejscu, tylko przy ulicy Świerczewskiego, gdzie mieszkam z rodziną do tej pory. To zresztą nieważne, cieszę się, że ktoś inny skorzystał. W tym czasie warunki pracy były bardzo ciężkie. Żeby utrzymać komunikację, bez przerwy coś naprawialiśmy — i to ręcznie. Takie jednak były czasy, że jeden przez drugiego chciał pokazać, że coś potrafi zrobić, a kiedy już zrobiliśmy, to była satysfakcja.

Stosunek do pracy zmieniał się jednak z upływem lat. Ludzie żyli lepiej, wygodniej, warunki pracy polepszały się. Pracowało się za pieniądze, a nie dla „satysfakcji”. Może dlatego Józef Szelest wraz z dwudziestoma kolegami postanowił zorganizować klub racjonalizatorski? Rozumowali słusznie, że każdy z nich pojedynczo widzi jakieś braki, które można uzupełnić, niedociągnięcia i błędy, które można naprawić. Sa fachowcami różnych branż: elektrycy, stolarze, mechanicy. Razem będzie im łatwiej wcielić pomysły w życie. I tak powstał Klub Racjonalizatorów, który liczył już potem 50 osób — w miarę, jak jego osiągnięcia zdobywały sobie uznanie w zakładzie i poza nim. Ludzie przekonali się, że „warto coś zrobić”, jak mówi Józef Szelest. A zrobili między innymi stół dyspozytorski z głośnikami, mikrofonami, telefonami i nawet magnetofonem. Za ten pomysł trzech wykonawców otrzymało w nagrodę wycieczki zagraniczne. Józef Szelest nie pojechał jednak nigdzie, bo nie chciał. Również zespołowo wykonano stół probierczy do pomiarów czujników

i wiele innych drobniejszych usprawnień.

Od czasu stanu wojennego klub podupadł, czego Józef Szelest żałuje: — Przedtem jeździliśmy do innych przedsiębiorstw — chwaliliśmy się naszymi rozwiązaniami, oni pokazywali swoje pomysły. Teraz tego nie ma, szkoda... Mam teraz taki problem z wprawianiem szyb do „Ikarusa”, gumy są bardzo twarde. Ja bym z chęcią pojechał zobaczyć, jak to gdzie indziej robią.

Z „Ikarusami” jest i tak wiele problemów, które miejscowi racjonalizatorzy rozwiązują, jak mogą. Na przykład pompy wtryskowe silników. „Ikarusy” miały smarowanie indywidualne, które nie zdawało egzaminu. Po przebiegu 10 tys. km pompa zacierała się i trzeba było ją po prostu wymienić. A tu tejsi racjonalizatorzy podłączyli smarowanie pomp do przewodu olejowego smarowania centralnego i po kłopotach.

Dyrekcja, znając „zacięcie” członków klubu, podrzuca im tematy. Teraz problem stanowią kasowniki — mają słabe taśmy i często się psują, a przy tym znajduje się w nich gwoździe, kawałki blachy, tektury, pestki od słonecznika... „Coś” trzeba zrobić...

Można byłoby jeszcze wiele napisać o Józefie Szeleście — stolarzu, koleżeńskim, uczynnym, w pracy — sumiennym i zdyscyplinowanym. Tajniki zawodu poznal doskonale, a swoją wiedzę przekazuje innym. Przez tyle lat pracy — żadnych kar, upomnień czy nagan. Jako racjonalizator należy do najaktywniejszych w przedsiębiorstwie.

— Praca nie czuje się zmęczony. Dopiero 46 rok — jeszcze trzeba poprawiać — mówi.

Ilu ludzi w jego wieku obchodzi 30-lecie nienagannej pracy zawodowej?

Listy

Zdrowy nie rozumie

Nawiązując do zamieszczonego w Waszym Tygodniku z dnia 13 lipca br., listu ob. Marii Kotowskiej „Zdrowy nie rozumie”, skarżąc się na niewłaściwe rozmieszczenie wydziałów w budynku Urzędu Miejskiego — Wydział Budżetowo-Gospodarczy Urzędu Miejskiego wyjaśnia:

Wszelkie przemieszczenia już utworzonych wydziałów czynione są w ostateczności i po głębokiej analizie ewentualnych następstw zmiany miejsca pracy wydziału. Praktyka dowodzi bowiem, że nawet po kilku latach od przeprowadzki interesanci trafiają do starego miejsca pracy wydziału, nie czytając tablicy informacyjnej. W sytuacji tworzenia nowych komórek organizacyjnych oczywiście bierze się pod uwagę wszystkie czynniki mogące ułatwić kontakt obywatela z urzędem.

Subiektywne wydaje się odczucie Czytelniczki o przewadze interesantów załatwianych na trzecim piętrze w porównaniu z pierwszym piętrem Urzędu Miejskiego. Sam tylko Urząd Skarbowy załatwia w ciągu miesiąca około 3.000 spraw podatkowych (wplywy, deklaracje, zezwolenia itp.). Ludzi na tych korytarzach nie widac, ponieważ są tam załatwiane sprawy nie pochłaniające czasu. Prawdopodobne jest, że w przeciągu miesiąca do Urzędu Skarbowego przychodzi więcej ludzi niż do wszystkich wydziałów na trzecim piętrze.

Sugerowane zmiany w rozmieszczeniu pomieszczeń biurowych są raczej niemożliwe do wykonania z powodów, o których wyżej, a także z powodu funkcji pewnych pomieszczeń jak sale rozpraw, kolegium ds. wykroczeń, magazyny kartotek itp. integralnie związanych z codzienną pracą wydziałów.

Plany modernizacyjne Urzędu Miejskiego przewidują uruchomienie dźwigu osobowego. W budynku istnieje szyb po starym dźwigu. Część robót objętych dokumentacją została już wykonana, zakupiono urządzenia dźwigowe. Uruchomienie windy uzależnione jest jednak od adaptacji budowlanej starego szybu pod nową urzędniczą. Niestety, na przeszkodzie naszym zamierzeniom stoi brak wykonawców robót budowlanych. Mamy nadzieję, że list Waszej Czytelniczki nakłoni budowlanych do podjęcia tego zadania.

Urząd Miejski w Legnicy
kierownik
Wydziału Budżetowo-Gospodarczego
Alojzy Dobrzyński

Jak można nabić klienta w butelkę

Od dłuższego czasu szukam odpowiedniej do niedużego pokoju ławy lub ławo-stołu. Bardzo więc się ucieszyłem, gdy trafiłem na taki, jaki właśnie mi odpowiadał. Było to w Legnicy, w sklepie meblowym przy ul. Marynarskiej (róg Chopinowskiej). Formalności związane z zakupem przebiegały sprawnie, wpłaciłem gotówkę w wysokości 7.800 zł i zgłosiłem się po odbiór. Dopiero wtedy ze zdumieniem dowiedziałem się, że mam jechać do magazynu w Nowej Wsi Legnickiej. W tym momencie poczułem się oszukany. Za towar, który mógłbym wziąć pod pachę musiałbym płacić co najmniej 1000 zł najmu do tego celu bagażówkę. Gdy zwróciłem się z problemem do pracownika tego sklepu oznajmił mi, że tu na to miejsca nie ma. Moim zdaniem przy dobrych chęciach i odpowiedniej organizacji zmieściłoby się w sklepie nawet 10 sztuk tych ławo-stołów (można je przecięć złożyć). Widocznie jednak na tyle pomysłowości i kierowania się dobrem klienta kierownictwo tego sklepu zabrakło chęci. Dużo lepiej naciągnąć go na kilka setek, niepotrzebną stratę czasu i nerwów. Napisałem o tym do książki założeń, ale wcale nie jestem pewny, czy to zmieni decyzję kierownictwa wymienionego sklepu.

Nadmieniam, że z zakupu zmuszony byłem zrezygnować, ponieważ nie mogłem dołożyć 1000 zł.

Alfred Tymko
Legnica

Red.: WPHW prosimy o bliźsze wyjaśnienia.

Misja specjalna⁴

Szczepan Ławniczak

Jesteśmy w progu kolejnej rocznicy wybuchu II wojny światowej. Jakby nie pamiętając o tym fakcie, mnożą się — mimo wakacyjnych miesięcy — wypowiedzi zachodniemieckich polityków i amerykańskich, wyższych dowódców NATO, uświadamiające nie tylko nam, iż rok 1939 to dla nich mglista historia, z której nic nie wynika. Obecny kurs amerykańskiej polityki wobec krajów wspólnoty socjalistycznej nie jest tylko koniunkturalnym wycinkiem przedwyborczej ofensywy R. Reagana. Wynika on z głęboko zakorzenionych antypatii w sporach odlamach społeczeństwa amerykańskiego i w ośrodkach intelektualnych, jak też u części przywódców kierujących obydwoma amerykańskimi partiami politycznymi.

W amerykańskich zainteresowaniach krajami wspólnoty socjalistycznej dostrzegamy w okresie powojennym kilka cezur. Pierwsza związana jest z nasileniem zimnej wojny i polityką, której symbolem pozostają bracia Allan i John Foster Dullesowie. Drugi okres można odnieść do początku lat 60 i kursu lansowanego przez J. F. Kennedy'ego. Duch pohelski — jak się wtedy mówiło — sprzyjał raczej zanikowi klasycznych badań sowietologicznych w amerykańskich ośrodkach naukowych. Jednocześnie Ameryka wstrząsana namiętnościami wojny wietnamskiej miała swój własny kryzys wewnętrzny — społeczny i gospodarczy, w następstwie którego narastały kłopoty finansowe wielu uczelni amerykańskich, dotowanych przeważnie ze źródeł prywatnych lub prywatnych fundacji. Efekt był taki, że równoległe z polityką odprężenia ograniczały się dotacje do amerykańskich ośrodków sowietologicznych, rejestrowano zmniejszony napływ na studia sowietologiczne i slawistyczne, i skutkiem tego mniejsze zainteresowanie tą tematyką młodej kadry naukowców.

Z chwilą objęcia rządów przez ekipę R. Reagana przysłowiowa wrażliwość uczelni amerykańskich na tradycyjne zapożycanie potrzeb polityki zagranicznej rządzącej ekipy okazała się być niewystarczająca. Stąd też w listopadzie 1983 roku przy Departamencie Stanu USA został powołany Komitet Doradczy do Spraw Badań nad Związkiem Radzieckim i Europą Wschodnią. Akt ten ma rangę ustawy określającej ponadto zakres nowych kierunków badań naukowych i przygotowania kadr do studiów nad Związkiem Radzieckim i Europą Wschodnią.

Przewodniczącym komitetu jest każdorazowy sekretarz stanu, a innymi członkami: sekretarz obrony, sekretarz Departamentu Oświaty, dyrektor biblioteki Kongresu USA, prezes Amerykańskiego Stowarzyszenia Rozwoju Badań Slawistycznych i prezes Stowarzyszenia Uniwersytetów Amerykańskich. Jest to obecnie najwyższe gremium zajmujące się programowaniem i kontrolowaniem badań sowietologicznych w uczelniach amerykańskich. I ważny szczegół. Działalność tego komitetu z mocy ustawy nie podlega kontroli żadnej agencji federalnej.

Dosyć zwięźle cel działania komitetu określa wspomniana ustawa. „Celem jest zapewnienie ciągłej, spójnej i długofalowej realizacji badań w tej dziedzinie w skali kraju”. Natomiast podstawowym zadaniem wyznaczonym dla komitetu jest wypracowanie ramowego, ogólnokrajowego programu badań nad krajami socjalistycznymi i czuwanie nad jego realizacją.

Rzecz taka nie może się dziać bez nakładów finansowych. Komitet Doradczy ma zawiązać środki w wysokości 5 mln dolarów rocznie tylko na zadania merytoryczne. Koszty bowiem administracyjne są pokrywane z budżetu Departamentu Stanu. A oto dyspozycje, według których można wydatkować środki na zadania merytoryczne: wspólfinansowanie programów naukowo-badawczych realizowanych przez renomowane ośrodki sowietologiczne; publikacji sowietologicznych na temat Związku Radzieckiego i krajów socjalistycznych, finansowanie najbardziej przydatnych z punktu widzenia interesów politycznych programów badań; programów kształcenia młodej kadry sowietologów, finansowanie seminariów, konferencji i innych spotkań naukowych z zakresu sowietologii, pokrywanie stypendiów naukowych na pobyt w Związku Radzieckim i w krajach Europy wschodniej. Jeden z punktów mówi o zjednywaniu

studentów i doktorantów na kierunki sowietologiczne i slawistyczne z najnowszej emigracji politycznej z Europy wschodniej.

Zakres działań komitetu jest znakomitą ilustracją w jaki sposób tak zwana niezależna nauka staje się instrumentem pomocnym w określaniu globalnej polityki USA wobec Związku Radzieckiego i krajów wspólnoty socjalistycznej.

W ślad za decyzjami federalnymi idą prywatne i regionalne przedsięwzięcia. Według amerykańskiego naukowca Leslie Belba, który podzielił się swoimi przemyśleniami na łamach „New York Timesa”, już widać skutki obecnego kursu politycznego administracji wobec ZSRR i krajów socjalistycznych. Między innymi „poważna dotacja — czytamy w artykule — przekazana na te cele została przez Averella Harrimana”.

Nadmieniony naukowiec przyznaje, że w poprzednich latach sowietologia stała się „ofiara polityki odprężenia”. W latach ożywionych kontaktów radziecko-amerykańskich na najwyższym szczeblu za prezydentury Nixona, ówczesny sekretarz stanu i przewodniczący Krajowej Rady Bezpieczeństwa Henry Kissinger odsunął z zaplecza doradczego ekspertów, twierdząc, że on zna lepiej radzieckich partnerów. Poza tym była znana arogancja H. Kissingera wobec kolegów z ośrodków naukowych, mimo że sam z nich wyszedł.

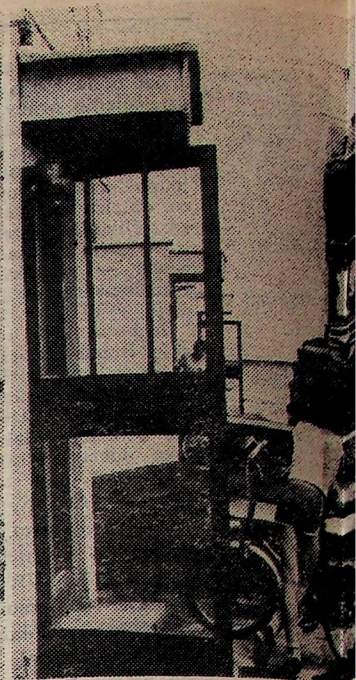
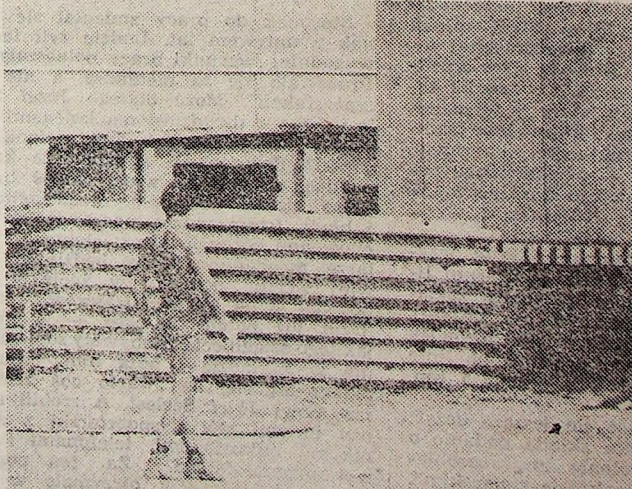
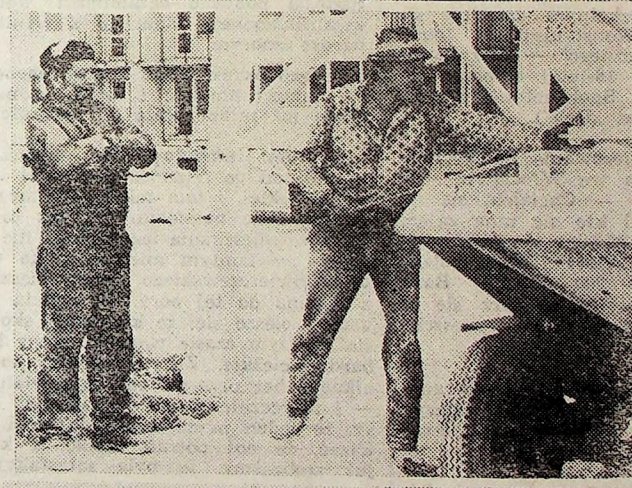
W świecie zachodnim wielokrotnie zastanawiano się nad ignorancją obecnej amerykańskiej dyplomacji jeśli chodzi o sprawy wschodnie. Dla zresztą temu wyraz swego czasu radziecki wicepremier i minister spraw zagranicznych Andriej Gromyko w oficjalnym wystąpieniu. L. Belba tak ocenia tę sytuację: „Politykę wobec Moskwy w rzeczywistości kształtują ludzie, którzy nie są ekspertami do spraw radzieckich, nie znają języka rosyjskiego, w Związku Radzieckim byli krótko i nigdy nie zajmowali się tym krajem. W kręgach administracji uważa się, że obecnie najbardziej wpływowymi osobistościami są: Robert C. McFarlane, doradca prezydenta do spraw doradztwa narodowego, Richard Burt, asystent sekretarza stanu do spraw europejskich i Richard N. Perle, asystent sekretarza obrony do spraw polityki bezpieczeństwa międzynarodowego. Wszyscy wymienieni zajmowali się prawie wyłącznie problematyką militarną i kwestiami związanymi z kontrolą zbrojeń”.

L. Belba widzi też powody, dla których administracja nie korzysta z grona wytrawnych sowietologów, a chce wychować własne kadry. W kręgach doświadczonych osób od spraw wschodnich — jego zdaniem — panuje zgodna opinia co do tego, że w kontaktach ze Związkiem Radzieckim i krajami Europy wschodniej istnieje konieczność unikania obraźliwych sformułowań, potrzeba utrzymywania regularnych kontaktów dyplomatycznych, konieczność stopniowego forsowania swojego stanowiska w negocjacjach a nie przywiązywanie wagi do szczegółów oraz potrzeba określenia wspólnych i antagonyzujących interesów Waszyngtonu i Moskwy.

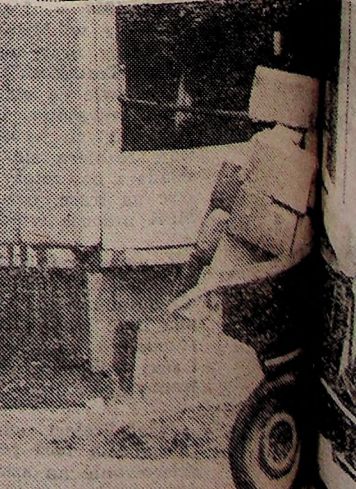
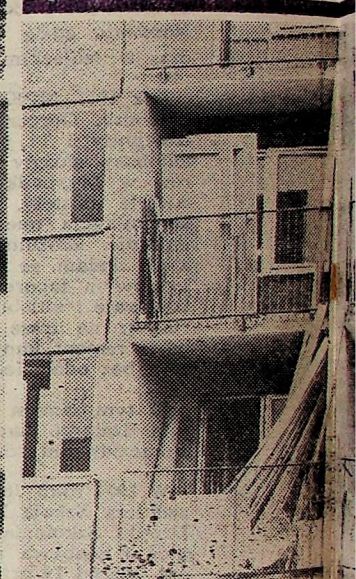
Spójrzmy inaczej. Przecież to z ust prezydenta Stanów Zjednoczonych padło obraźliwe określenie Związku Radzieckiego jako „imperium zła”. Polityka restrykcji politycznych i gospodarczych wobec Polski doprowadziła do sytuacji, w której między Warszawą i Waszyngtonem nie ma normalnych kontaktów dyplomatycznych na szczeblu ambasad.

Inny specjalista od spraw wschodnich ze starej szkoły, Dimitr Simes, tak określa motyw, dla których administracja nie korzysta z doradztwa ludzi rzeczywiście znających stosunki w Europie wschodniej. „Doświadczony dyplomata jest potrzebny tylko wtedy, gdy poprawa stosunków ze Związkiem Radzieckim staje się sprawą priorytetową, a obecnie wcale o to nie chodzi. Rzeczywiście niepokojący jest brak woli (poprawy stosunków z ZSRR — przyp. S.L.), a nie brak doświadczonego doradcy — dyplomaty”.

Wychowanie kadry najemnych pracowników naukowych, przydatnych do realizacji doraźnych i dalekosiężnych celów polityki światowego imperializmu wobec obozu socjalistycznego przyprawia o ból głowy nie tylko czołowych obecnie liderów życia amerykańskiego. (c.d.n.)



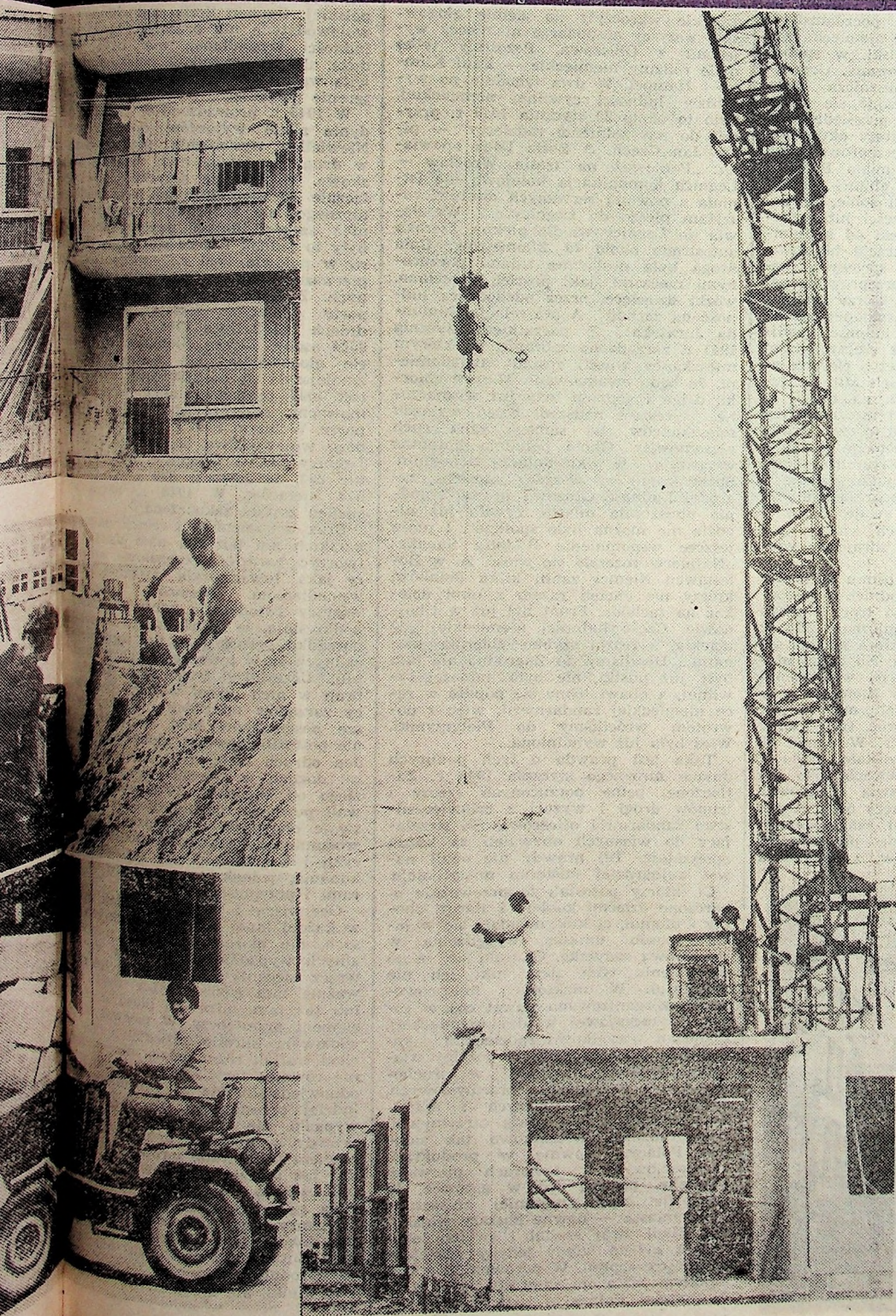
Piekary
Fotoreportaż Janusza





— obrazki z nowego osiedla

usza Budnickiego



Od pięciu już lat osiedle Piekary jest największym placem budowy w Legnicy. Kiedy pierwszy raz tu zawiąłem, trzy lata temu, nieliczni jeszcze mieszkańcy z trudem brnęli każdego dnia przez błotniste, dopiero co wytyczone osiedlowe ścieżki.

Wszyscy jeszcze pamiętają kolejkę ustawioną przed otwierającym swe podwoje pierwszym osiedlowym sklepem i ciągle kłótnie o punktualność kursującej co pół godziny ósemki — jedynej wówczas dostępnego na Piekarach autobusu.

Czas biegnie szybko. Bagażówki przywożące kolejne komplety nowych mebli i ich właściciele świadczą o ustawicznym rozwoju osiedla. Jednocześnie tłumy dzieci biegających wokół domów, w piaskownicach i na boiskach, mówią co innego — to mianowicie, że małe miasto wyrosło „na górce”, jak mawiają starzy legniczanie, żyje już własnym, odrębnym życiem, ze swoimi sukcesami i kłopotami.

Tych ostatnich jest na razie więcej. Każdy bowiem, kto już otrzymał długo wyczekane mieszkanie, zaczyna rozglądać się wokół. I widzi, że jeszcze błoto, brak zieleni, w sklepie kolejki, daleko do przystanku autobusowego, nie ma szkoły, żłobka, w przedszkolu brak miejsc, nie ma klubu, apteki, przychodni, punktów usługowych, słowem wielu niezbędnych w normalnym mieście rzeczy. I mają rację ludzie domagający się tego wszystkiego.

Ale jednocześnie ci, którzy oczekują już na mieszkanie dziesięć lat i jeszcze mają w perspektywie dwa, trzy lata, chodzą do spółdzielni i tłumaczą, że najważniejsze są przecież mieszkania i tylko mieszkania.

Znamienny jest tu przykład następujący: postawiono i wykończono budynek mieszkalny, ale budowlani nie kwapili się z budową drogi dojazdowej do niego. Ludzie posiadający przydziały na nowe mieszkania chodzili na plac budowy i ogładali postęp prac. Budowlani cierpliwie im tłumaczyli, że lokale są już gotowe, ale spółdzielnia nie chce domu odebrać. Wymuszono więc na spółdzielni odbiór obiektu. Ludzie twierdzili, że mogą się wprowadzić nawet bez drogi dojazdowej.

Dylemat, co budować — mieszkania dla oczekujących czy obiekty towarzyszące dla już mieszkających, jest aktualny w każdej rozwijającej się spółdzielni.

Wszystko wskazuje na to, że na Piekarach próbuje się pogodzić te dwa zdawałoby się sprzeczne problemy. Wpuszczono na osiedle wielu wykonawców i dzięki temu buduje się i mieszkania i obiekty.

Wizja osiedla jest imponująca. Na 450 hektarach wybuduje się ogółem 7 330 mieszkań dla 36 tysięcy mieszkańców, 6 szkół podstawowych i jedną zawodową, 8 przedszkoli, 6 żłobków, kilka świetlic i punktów opieki dla dzieci, dwie przychodnie lekarskie, pocztę, aptekę, wiele pawilonów handlowych, pralnie samoobsługowe, obiekt sakralny, stadion, kino. Słowem, na deskach projektantów powstało miasto z prawdziwego zdarzenia, w którym każdy będzie chciał mieszkać.

Praktyka jednak dowodzi, że nie wszystko co wymyślą projektanci jest konsekwentnie realizowane w praktyce. Jak będzie tym razem, zobaczymy za kilka lat.

Tymczasem kilkanaście tysięcy mieszkających na osiedlu ludzi posiada do dyspozycji jeden pawilon spożywczy, przedszkole, świetlicę, bibliotekę, kilka kiosków „Ruchu” oraz nieliczne prywatne lokale usługowe i handlowe. Największymi mankamentami są brak szkoły, żłobka oraz sieci sklepów. Można jednak mieć nadzieję, że w stosunkowo szybkim czasie część kłopotów minie bezpowrotnie.

W wielu miejscach osiedla widać pracujących ludzi. Zaawansowana jest budowa kolejnego pawilonu spożywczego, przychodni zdrowia, na ukończeniu jest drugie przedszkole. Prawdopodobnie już w przyszłym roku dzieci wprowadzą się do nowej szkoły.

Do bieżącej obsługi budynków mieszkalnych i niektórych innych urządzeń osiedlowych, spółdzielnia wybudowała własną bazę remontowo-budowlaną. Zatrudnieni tam fachowcy wykonują prace na rzecz spółdzielni — przedszkole, „adeemówkę”, biura zarządu oraz świadczą usługi instalacyjne, malarskie, posadzkarskie i inne dla członków spółdzielni.

O osiedlu świadczy jego wygląd, w tej części, gdzie uporządkowano już teren po pracach budowlanych, dbałość o trawę, kwiaty i drzewa jest widoczna na każdym kroku. Spółdzielnia zatrudniła osiedlowego ogrodnika, który z grupą początkujących dozorców troszczy się o zieleni. Systematycznie kosi trawę, pielęgnuje rabaty krzewów, podlewa młode drzewka. Najpiękniej prezentują się różane klomby.

Ciekawy system przyjęto, jeśli chodzi o prace dozorców. Praca ta gwarantuje mieszkanie służbowe, a więc o kandydatów łatwo. Ale dozorca zanim otrzyma angaż, musi rok przepracować przy pielęgnacji terenów zielonych, przy tym wykazać się solidnością w wykonywaniu obowiązków. Ponadto gospodarze domów mają osobno płacone za sprzątanie klatek schodowych, pielęgnację zieleni wokół domów oraz za czystość chodników i ulic. Tak więc wygląd domu decyduje o zarobkach dozorców.

Każdego roku przybywać będzie na osiedlu nowych mieszkańców. Czekają na nie mieszkańcy całej Legnicy. Ale na ręce budowlanych spoglądają również obywatele samych Piekar. Ci czekają na sklepy, szkołę, żłobki.

4.

NIE MA prawie tygodnia żeby nie docierały do nas buńczuczne wypowiedzi zachodniemieckich rewizjonistów. Ciągłe słyszymy o wiecach, zjazdach i kongresach „wypędzonych z ojczyzny” Niemców. Dla nich wojna to nie miliony pomordowanych w komorach gazowych Oświęcimia i Treblinki, zamęczonych w Dachau i Gross Rosen, spalonych w powstańczej Warszawie, wygnanych na głód i poniewierkę z Pomorza i Zamojszczyzny. Dla nich wojna to dramat „pozbawionych prawa do ojczyzny” obywateli „Tysiącletniej Rzeszy”, którzy przy suto zastawionych stołach i kuflach piwa gotowi są wylewać krokodyły łzy lub modlić się słowami zemsty i odwetu. Niech dobry, teutoński Bóg pokarze tych zbuntowanych podludzi Polaków za to, że osmielili się zakwestionować wyłączność prawa do życia niemieckich Übermenschów.

Ja wiem, że krzykliwe manifestacje bońskich odwetowców to nie są całe Niemcy, że nie brak tam obywateli o wielkiej kulturze i rzetelnej wiedzy o przeszłości, których nie przekonają ani kłamliwe hasła, ani zgiełk fałszywej propagandy, ani oszczerce wypowiedzi. Ale ciągle powtarzanie kłamstw, ciągłe podburzanie do zemsty i odwetu jest groźne. To nie Polak powiedział, że wystarczy tysiąc razy powtórzyć kłamstwo, a ludzie uwierzą, i o prawdziwość tego twierdzenia, przynajmniej w stosunku do naszych zachodnich sąsiadów, mogliśmy się już przekonać. Dlatego nie wolno milczeć. Trzeba mówić prawdę również o tych trudnych czasach i trudnych decyzjach, żeby powtarzane bez przeszkód kłamstwa nie stały się „zastępczą prawdą” pokoleń, które same nie pamiętają już lat powojennych.

Jak więc było naprawdę?

Na długo przed zakończeniem działań wojennych stało się oczywiste, że z chwilą objęcia ziem zachodnich i północnych konieczne będzie wysiedlenie stamtąd ludności niemieckiej. Dotychczasowe doświadczenia historyczne w Polsce, Czechosłowacji, na Węgrzech i w Rumunii wykazały przecież, że mniejszość niemiecka zawsze stanowiła element wrogi i destrukcyjny, skierowany przeciwko władzom państwa w którym zamieszkiwała i jego ludności. Zdawali sobie sprawę z tego nie tylko Polacy. Rozwiązanie problemów narodowościowych przez przemieszczenie ludności nie było zresztą w praktyce międzynarodowej czymś nowym. Po pierwszej wojnie światowej, w oparciu o zawarte umowy międzynarodowe przesiedlono przecież wiele milionów ludzi, pomiędzy Grecją i Bułgarią, Grecją i Turcją, Rumunią i Turcją oraz Niemcami i Włochami.

Już w 1940 r. wypowiedzieli się za wysiedleniem Niemców z Polski, po zakończeniu wojny, niektórzy politycy brytyjscy, zarówno ze sfer rządowych, jak też i działacze partii konserwatywnej. Na tym samym stanowisku stały również wszystkie ugrupowania polityczne w kraju i na emigracji, rząd emigracyjny i jego delegatura. Również polskie ugrupowania lewicowe w Związku Radzieckim oraz działacze PPR w kraju wypowiadali się niejednokrotnie w tej sprawie, uznając przesiedlenie Niemców za konieczne zarówno ze względu na bezpieczeństwo państwa, jak też i potrzeby gospodarcze robotników i chłopów polskich. Sami Niemcy potrafili zresztą przekonać bardzo dokładnie Polaków o tym, że współżycie z nimi w ramach jednego organizmu państwowego jest niemożliwe.

O ile sam sposób rozwiązania pro-

Wielka mistyfikacja

Janusz Chutkowski

blemu mniejszości niemieckiej przez przesiedlenie jej na terytorium Niemiec nie budził wątpliwości, to poglądy na wykonanie tego różniły się znacznie. Oficjalne stanowisko polskiego rządu emigracyjnego przewidywało wysiedlenie Niemców w dwóch etapach. W pierwszym, bezpośrednio po zawarciu rozejmu mieli być wysiedleni Niemcy, których pozostawienie mogłoby zagrozić bezpieczeństwu państwa (funkcjonariusze państwowi, partyjni, wojskowi, członkowie organizacji paramilitarnych i inni nastawieni wrogo do Polski). W drugim etapie, który miał trwać przez dwa lata od chwili podpisania traktatu pokojowego, w następnej kolejności mieli opuszczać Polskę pozostali Niemcy. Obie partie robotnicze PPR i PPS wypowiedziały się natomiast za niezwłocznym i kontrolowanym przeprowadzeniem akcji wysiedleńczej, zdecydowanie również występując przeciwko stosowaniu metod odwetowych, czyli takiego sposobu postępowania jak stosowali hitlerowcy przy usuwaniu ludności polskiej. Po prostu Polacy nigdy nie potrafili się mścić.

Ostatecznie sprawa wysiedlenia Niemców z terytoriów Polski, Czechosłowacji i Węgier została uregulowana w czasie konferencji w Poczdamie. W rozdziale XIII uchwał poczdamskich ustalono, że cała ludność niemiecka zostanie wysiedlona z Polski w sposób humanitarny i uporządkowany. Organizatorem akcji była Sojusznicza Rada Kontroli, która miała zająć się sprawiedliwym rozdziałem przesiedleńców pomiędzy poszczególne strefy okupacyjne. Natomiast samo przeprowadzenie przesiedleń wykonywać miała Polska.

Podejmując decyzję aliansi jeszcze nie w pełni uświadomili sobie, że zostały one w znacznej części już wykonane i to w sposób daleki od humanitarności, przez administrację hitlerowską. Nie zdawano sobie sprawy z rozmiarów ewakuacji przeprowadzonej przez samych Niemców, którzy realizując obłądną politykę „spalonej ziemi” przymusowo wypędzali ludność cywilną, nie licząc się ani z rzeczywistymi potrzebami frontu, ani też z cierpieniami i stratami tej ludności. Miliony ludzi zostało wypędzonych na drogi, w czasie niezwykle ostrej i mroźnej zimy 1945 r. Straszono ich tym, że Armia Czerwona gwałci i morduje kobiety, poddaje wymyślnym torturom złapanych mężczyzn, a wszystko rabuje i pali. I ogłupiali wszechogarniającą propagandą ludźle rzucali swoje domy i szli na poniewierkę. Tych, którzy nie chcieli traktowani jak zdrajców, wieszano i rozstrzeliwano.

Taka jest prawda. Z ośmiu milionów mieszkańców ziem zachodnich i północnych pozostało niespełna trzy, z czego większość to autochtoniczna ludność polskiego pochodzenia, która zdołała się uchronić od wypędzenia. Na ziemi glogowskiej bezpośrednio po wyzwoleniu pozostało około 7 tysięcy Niemców, a w Głogowie około 1800. Policzmy: to jest odpowiednio 7,7 i 5,4 proc. tych którzy tam mieszkali w 1944 r. W ponad 83-tysięcznej Legnicy pozostało około 7 tysięcy osób, w Polkowicach było ich 449. Z samego Wrocławia hitlerowcy wypędzili około 700 tysięcy osób. A jak to się odbywało opisali sami Niemcy. Niech mi wolno będzie przypomnieć tylko kilka fragmentów z dziennika

wrocławskiego proboszcza ks. Paula Pi-kerta.

„Nastala nie opisana niedola i nie opisana nędza... Matki z małymi dziećmi, matki w ciąży, starzy wynędzniali ludzie, z trudem poruszający się o lasce, dzie, z trudem duża gromada dzieci i młodszych kobiet — oto obraz ówczesnych dworców kolejowych. Przez wiele godzin, a nawet dzień albo dwa na przejmującym zimnie musieli uchodzić czekać na dworcach do czasu, aż ich wypuszczono do pociągu ewakuacyjnego. Doniesiono mi, że na samym Dworcu Głównym zaduszono na śmierć lub stracono 60—70 dzieci... Nie opisana była tragedia zmuszonych do ucieczki i szosą. Nieprzebrane szeregi kobiet i dzieci z wózkami dziecięcymi przeciągały ulicami wózkami ręcznymi przeciągały ulicą. Wiele dzieci i dorosłych zmarło w przejmującym zimnie i legło w rowach przydrożnych. Oddziały usuwające zwłoki znalazły tak wiele trupów, że nie mogły ich liczyć na ciężarówkach ukryć... Zapewne nigdy nie dowiemy się liczby tych, co życiem przepłacili ucieczkę podczas srożej zimy”.

To zanotował niemiecki proboszcz. Ale i Polacy, przeważnie robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni opisują tamte wydarzenia. „Kiedy wojska radzieckie wkroczyły na ziemię glogowską, wszyscy gospodarze niemieccy wyjechali z Obiszowa. Pozostali tylko dwie rodziny niemieckie — Paul Klimke i Hampel. W dwa tygodnie po wyjeździe ludności cywilnej niemieckiej, było to około 20 stycznia 1945 r. przyszedł do nas żołnierz radziecki” — pisze Jan Czech. A Zofia Loga opowiada: „Ponieważ na trasie Wrocław — Legnica komunikacja kolejowa nie istniała z powodu zerwanych mostów, ruszyłam pieszo do Legnicy... Z Wrocławia do Legnicy wiodła piękna, szeroka autostrada około 70 kilometrów. Cała droga była dosłownie usiana porzuconymi rzeczami, jak: pościel, porcelana, wózki dziecięce, przez odchodzącą ludność na zachód”. A oto relacja Edmunda Juraszka: „Z początkiem stycznia 1944 r. zarządzone zebranie, na którym mieszkańcy wioski zostali zawiadomieni, że będą ewakuowani. Miejsce zbiórki, dzień i godzina były już wyznaczone... Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu mieszkańców, od samego rana ruch niesamowity. Około południa kolumna wyruszyła w kierunku zachodnim. Sprawdzono czy wszyscy opuścili zagrody. Ludność Głogowa już od tygodnia opuszczała miasto, cywila już nigdzie nie można było spotkać”. I może jeszcze wspomnienie Rudolfa Sanaka: „Najpierw rozeszła się wieść, że w Bolesławcu Niemcy zabili kilku Polaków, którzy nie chcieli razem z nimi uciekać na zachód... Front był już w Chojnowie. Część ludności niemieckiej już uciekała, a reszta szybko zbierała manatki... Doszliśmy do Zagrodna ale tam były już pustki, nie było ludności cywilnej, a obawialiśmy się popaść w ręce niemieckiej żandarmerii, więc z powrotem wróciliśmy do Pielgrzymki. Wieść była już wyłudniona...”.

Taka jest prawda o tych ponurych dniach mroźnego stycznia 1945 r. Zatluczone, pełne porzuconych rzeczy i trupów drogi i wyzuci z człowieczeństwa żandarmi i oficerowie SS strzelający do własnych obywateli za każdą opieszałość. Tej prawdy nie obali nawet najbardziej misterna mistyfikacja.

Ci, którzy pozostali to przeważnie obarczone dziećmi kobiety i starcy, chorzy i ulumni, ci którym udało się w jakiś sposób uniknąć wypędzenia w styczniową zadymkę. Okazało się, że po wyzwoleniu tych ziem nikt ich nie mordował. W niektórych miejscowościach zorganizowano nawet coś w rodzaju tymczasowej władzy niemieckiej. Podlegali początkowo radzieckim komendantom wojennym, a później władzom polskim. Pracowali w uruchomionych zakładach przemysłowych, warsztatach rzemieślniczych i majątkach ziemskich. Za pracę otrzymywali wynagrodzenie, początkowo tak samo jak Polacy, głównie w produktach żywnościowych i towarach pierwszej potrzeby, później już w gotówce. W Głogowie zajęli najmniej zniszczoną część miasta — dawne koszarzy wojskowe. Mieli swój szpital i swoich lekarzy, a był to wtedy jedyny istniejący w mieście szpital. W porównaniu z warunkami jakie oni sami stworzyli w okupowanej Polsce to była prawie sielanka. Wielu z nich nie potrafiło się jednak pogodzić ani z przegraną wojną, ani z faktem, że nie oni już rządzą i

rozkazują. Często więc demonstrowali swoją wrogość i niechęć do Polaków.

A jak wyglądało wysiedlanie pozostałych na ziemi legnickiej Niemców? Zupelnie inaczej niż chcą to widzieć obłądzeni rewizjonistyczni mistyfikatorzy i zupełnie niepodobnie do tego jak wysiedlano Polaków z Pomorza i Pomorzańskiego. W sposób planowy i zorganizowany, bez bicia i ponizania, a za to z zapewnieniem pomocy lekarskiej i niezbędnej na czas podróży żywności. W większych miejscowościach zorganizowane zostały przez Państwowy Urząd Repatriacyjny punkty zbiorne, ogrzane i zaopatrzone w żywność. Stamtąd kierowano wysiedlonych na wyznaczone stacje kolejowe, skąd pociągami odjeżdżali do angielskiej i amerykańskiej strefy okupacyjnej. O tym co wolno było im zabrać ze sobą decydowały władze wojskowe tych państw (500, a później 1000 marek niemieckich na osobę oraz żywność na cztery dni według II kategorii zaopatrzenia kartkowego: 800 g chleba, 100 g tłuszczu, 40 g cukru, a dla dzieci i chorych 800 g mleka w proszku). Wielkość bagażu ręcznego nie była ograniczona.

Równocześnie z rozpoczęciem akcji wysiedlania Niemców utworzono Komisję Weryfikacyjną, której zadaniem było stwierdzenie polskiej przynależności narodowej osób ubiegających się o nadanie im obywatelstwa polskiego. Niestety setki lat germanizacji zrobiły swoje. Na ziemi legnickiej nie było ich wielu. W Legnicy zweryfikowano 115 autochtonów, w całym bardzo dużym powiecie glogowskim zgłoszono około 200 wniosków o weryfikację, z czego większość załatwiono pozytywnie. W Jaworze było 57 rodzin narodowości polskiej. Ogółem liczba autochtonów w województwie nie przekroczyła 1 proc. ludności wysiedlanej, nie była więc duża, ale dla osadników polskich stanowiła ważny symbol zachowania na tym terenie polskości.

W 1945 r. prowadzono w zasadzie jedynie akcje wyjazdów dobrowolnych. Niewielkie wysiedlenia przeprowadzili w drugiej połowie roku władze wojskowe. W zasadzie dotyczyły one wyłącznie 30-kilometrowego pasa nadgranicznego, ale w praktyce objęły również szereg innych miejscowości. Nie były to jednak liczące się akcje. Dopiero w połowie 1946 r. zorganizowano pierwsze planowe transporty wysiedlanych. Z Legnicy dwa pierwsze transporty Niemców zostały wysłane w dniach 1 i 2 lipca 1946 r. Liczyły one 3524 osoby. Liczba Niemców w powiecie glogowskim pod koniec 1946 r. zmniejszyła się do 2690 osób. Przez cały rok 1947 (z wyłączeniem miesięcy zimowych) organizowano dalsze transporty. W lutym 1948 r. na terenie obecnego województwa legnickiego było: w Legnicy 200, w Głogowie 359, w Lubinie 250, w Jaworze 890 i w Złotoryi 508 Niemców. W 1948 r. akcja wysiedleń została zakończona.

Brak dokumentów i relacji pamiętnikarskich nie pozwala nam dzisiaj otworzyć bardziej szczegółowo atmosfery jaka towarzyszyła zorganizowanym wysiedleniom Niemców. Jednakże wszyscy świadkowie tamtych wydarzeń podkreślają, że odbyło się to w pełnym porządku i spokoju i nie zapamiętano żadnych zaskakujących wysiedlaniu. Uczestnicy tych akcji (z reguły brali w nich udział wszyscy pracownicy zarządów miejskich i funkcjonariusze posterunków MO) stwierdzają, że nie potrafili wówczas zdobyć się na żaden odruch nienawiści, pomimo że sami doznali w okresie okupacji wiele złego od Niemców. Przeciwnie odczuwali pewnego rodzaju litość i spełniali swoje obowiązki wprawdzie z pełnym zrozumieniem słuszności podjętych decyzji i konieczności ich szybkiego wykonania, jednak z wewnętrznymi oporami i przymusem.

Oczywiście i w tej akcji, jak zresztą w każdej innej w owych trudnych czasach, nie można wykluczyć indywidualnych wypadków brutalności czy też wręcz znęcania się. Działo się tak przeważnie tam gdzie władza była słaba lub też tam, gdzie do głosu dochodził element przestępczy. W pierwszym, zwiolowym okresie zasiedlania, na zachód trafiali różni ludzie, niejednokrotnie również tacy, którzy uciekali przed odpowiedzialnością za popełnione przez siebie przestępstwa. Te indywidualne wypadki nie mogą jednak przesłonić prawdy o tamtych dniach. Był one bowiem traktowane zarówno przez władze jak i przez zdecydowaną większość społeczeństwa polskiego jako przestępstwa godne potępienia i ukarania.

Niemcy nigdy nie zapłacili za zbrodnie dokonane w Polsce i innych krajach Europy. Po prostu za tego rodzaju zbrodnie nie można zapłacić. Pozostał wielki, nie uregulowany rachunek krzywd. Może właśnie dlatego ostatnio dzisiaj zatrzęść pamięć tamtych lat, ciekają się do tej wielkiej mistyfikacji



Na tych glogowskich gruzach w 1945 roku powoli zaczynało tętnić życie...

Przed ósmym sezonem

Z Józefem Jasielskim, kierownikiem artystycznym Teatru Dramatycznego w Legnicy rozmawia Antoni Neczyński.

— W listopadzie 1977 roku premiera „Lata w Nohant” Jarosława Iwaszkiewicza zainaugurowano pierwszy sezon Teatru Dramatycznego w Legnicy. Dziś jesteśmy w przededniu ósmego już sezonu. W jaki sposób moglibyśmy podsumować minione siedem lat?

— Teatr zrealizował 45 premier, które obejrzało ponad pół miliona widzów. Tak wygląda sucha, najkrótsza statystyka. W rzeczywistości jednak teatr przeżywał dni gorzej i lepsze. Początkowo był wielki entuzjazm. Powstała ambitna, najbardziej prestiżowa w Legnicy placówka kulturalna, było zainteresowanie władz, teatr miał liczną widownię. Później nastąpiły czasy gorsze, jakość kolejnych przedstawień spadała, teatr stracił tysiące widzów.

— Próba ratowania sytuacji była zmianą dyrektora. Od trzech lat pan decyduje o artystycznych poczynaniach teatru.

— Zaczęłam lansować repertuar bardzo ambitny. Koledzy z większych ośrodków mówili nawet, że zbyt ambitny, jak na możliwości legnickiego zespołu, chociaż ja zawsze przeciwstawiałam się deprecjonowaniu małych teatrów z pozycji dużych ośrodków. Dominować zaczęła na deskach wielka klasa. W ubiegłym sezonie zagraliśmy „Balladynę” Słowackiego, która szła u nas pięćdziesiąt razy, co jest sporym osiągnięciem, „Męża i żonę” Fredry oraz „Moliera” Bułhakowa. Te trzy klasyczne sztuki uzupełniły pozycje lżejsze — „Szkłana menażeria”, „Terrorysty” i pozycja dla dzieci „Pinokio”. Opowieść o drewnianym pajacu szła przed urlopem dwadzieścia razy, zawsze przy komplecie widzów i myślę, że w sumie damy ponad sto przedstawień. Osobiście bardzo mnie to cieszy, gdyż kształtowanie się teatralnej świadomości rozpoczyna się od dzieciństwa.

— Czy można już powiedzieć, że miasto w pełni akceptuje swój jedyny przeciwcieło teatru?

— Oczywiście chciałbym, by kontakt widzów z teatrem był intensywniejszy, ale niestety jest w kraju sytuacja taka, że teatr generalnie przestał być atrakcyjny wobec innych form spędzania wolnego czasu. Nabożeństwo w koście-

le, kino, cyrk, telewizja zabierają nam publiczność.

Już po pierwszych dwóch sezonach entuzjazmu i fascynacji nowym teatrem, zainteresowanie widzów spadło, mimo że grano sztuki łatwe i przyjemne. Od kiedy ja tutaj jestem, zaczęliśmy robić sztuki wielkie, ambitne, ale jednocześnie wymagające ogromnej pracy całego zespołu. Realizacja trudnych zadań opłaciła się. Już w pierwszym moim sezonie, to jest w 82 roku przybyło nam 5 tysięcy widzów, a wpływy wzrosły o ponad milion złotych. W kolejnym roku przybyło następne trzy tysiące widzów i następne pół miliona złotych. Stało się to przy takiej samej liczbie przedstawień w roku. Wzrost więc wskaźnik procentowy frekwencji, który obecnie wynosi 86 procent, czyli na każde sto krzeseł na widowni, tyl-

ko czternaście stoi pustych, statystycznie. Tak więc cyfry — najbardziej miarodajny wskaźnik — świadczą o zauważalnym wzroście zainteresowania teatrem w mieście.

Ale trzeba pamiętać, że dopiero odyskujemy widownię, która już była w tym teatrze na początku, a później z niego odeszła. W ubiegłym sezonie mieliśmy w sumie 64 tysiące widzów, natomiast w dwóch pierwszych sezonach widzów było 70 tysięcy. Odyskujemy dopiero zaufanie.

— Co wobec tego proponuje pan ludziom w nadchodzącym sezonie?

— Rozpoczniemy rok olbrzymią pozycją, być może największym przedsięwzięciem w każdym teatrze — „Dziadami” Adama Mickiewicza, pokazanymi w całości. Premiera, która stwarza dużo wątpliwości, niepokojów, duże ryzy-

ko artystyczne, wymaga z pewnością ogromnej pracy przygotowawczej. Po sukcesie „Wesela” w 82 roku wolno nam optymistycznie patrzeć w przyszłość. Premiera „Dziadów” powinna nastąpić na przełomie listopada i grudnia. Przy realizacji tej pozycji chciałbym odstąpić od powszechnie stosowanej koncepcji „Dziadów” deklamowanych, w których liczyła się tylko poezja i nic więcej. Nasze przedstawienie będzie bardzo realistyczne, tak jak realistyczny jest tekst Mickiewicza. Muzykę napisze Czesław Niemen.

Drugą wielką sztuką nadchodzącego sezonu będzie „Wariat i zakonnica” Witkacego. Wkomponujemy w adaptację kilka postaci z innych sztuk Witkacego. Trochę w tym miejscu marzy mi się przedstawienie korespondujące pewnymi skojarzeniami z „Lotem nad kukulczym gniazdem”, bo i temat jest podobny. Nie wiem na ile nam się to uda.

Do tych dwóch zasadniczych pozycji dojdzie dziecięce przedstawienie włoskiego autora G. Rodari „Gelsomino w krainie kłamczuchów”.

Ostatnią premierą sezonu będzie „Uroczysty bankiet w zakładzie pogrzebowym” Ivo Bresana. Satyryczna, ostra, współczesna tragikomedia.

— Dziękuję za rozmowę.



Fot. Waldemar Sikorski

Przestała być ubogą krewną

Wanda Ilesionowska

Mowa oczywiście o kulturze, która nawet w dobie państwowego, powojennego mecenatu uzależniona była głównie od doraźnych dotacji. Toteż co by nie powiedzieć krytycznego o funkcjonowaniu Funduszu Rozwoju Kultury — trzeba pamiętać przy tym, że jest to, jak dotąd, jedno z najlepszych posunięć organizacyjnych, zapewniających działalności kulturalnej trwałą podstawę finansową.

Jak wykorzystuje się Fundusz Rozwoju Kultury?

Każdy gospodarz posiadający jakiś majątek wie, że bez rozsądnego planowania wydawanie pieniędzy jest nieracjonalne. Dlatego ustawa o Funduszu Rozwoju Kultury bardzo precyzyjnie określa jego zasięg i dyspozytorów.

Fundusz Rozwoju Kultury ma swego głównego dysponenta, którym jest Ministerstwo Kultury i Sztuki. Jednakże samo ministerstwo nie jest uprawnione do podejmowania decyzji finansowych bez zasięgnięcia opinii Narodowej Rady Kultury, która z kolei zobowiązana jest do szczegółowego okresowego raportu o wydatkowaniu tego funduszu. Jak o widać — na straży interesów kultury stoi ważny i autorytatywny organ,

odpowiedzialny przed społeczeństwem za działalność nawet opiniodawczą.

Gdy w księgarni dostajemy do rąk rzadką książkę o dość wąskiej tematyce, wymagającą od autora wielu nieraz lat pracy — zastanawiamy się, jak wydawnictwo wyszło na swoje, przy dość przystępnej cenie tej książki. Właśnie w takich przypadkach Ministerstwo Kultury i Sztuki udziela dotacji. Środek bierze z Funduszu Rozwoju Kultury.

Podobnie bywa ze stypendialnymi zakupami twórczości plastycznej. Wartościowy obraz wymaga nieraz dużej pracy. Z kolei cena jego, kalkulująca wen wkład pracy artysty, nie byłaby dostępną dla prywatnych odbiorców, którzy nie ryzykują na ogół kupna dzieła autora o mniej znanym nazwisku. Wtedy takiemu artyście przychodzi z pomocą państwowy mecenaz, komisyjnie oceniający poziom i wartość wykonanego dzieła, a zakupu dokonuje Ministerstwo Kultury i Sztuki właśnie z Funduszu Rozwoju Kultury.

Z niego również bierze się pieniądze na inwestycje o ważnym, ogólnonarodowym znaczeniu — takie jak na przykład budowa Biblioteki Narodowej, rozwój fonografii, zaopatrzenie poligrafii w nowoczesne maszyny, dotacje na ruch muzyczny itp.

Poważnym klientem Funduszu Rozwoju Kultury są także muzea, a Muzeum Narodowe ze swoimi terenowymi oddziałami w szczególności.

Te inicjatywy, którym patronuje bezpośrednio Ministerstwo Kultury i Sztuki, są finansowane z tej części Funduszu Rozwoju Kultury, który wchodzi w skład funduszu centralnego. Ustawa jednak szczegółowo definiuje zasady działania Funduszu Rozwoju Kultury w terenie.

Fundusze terenowe — wojewódzkie, miejskie, miejsko-gminne, gminne.

Co by to była za samodzielność w kulturze, w jej upowszechnianiu, gdyby wszystko trzeba było uzgadniać na szczeblu centralnym? Oczywiście, że byłaby to raczej biurokratyczna forma dyktowania niż działalność z prawdziwego zdarzenia. Nie bacząc więc na pewne niebezpieczeństwa niewłaściwego dysponowania Funduszem Rozwoju Kultury — bo i takie przypadki zdarzają się w pierwszej fazie jego egzystowania — zostawia się całkowitą samodzielność organom terenowym w dysponowaniu finansami.

W bieżącym roku wszystkie województwa — po uprzednim zgłoszeniu

potrzeb — otrzymały środki na kulturę z Funduszu Rozwoju Kultury w takiej wysokości, o jaką występowały. Czy będzie tak zawsze? Chyba zależy to będzie od wysokości sum i możliwości pokrycia potrzeb w skali całego kraju. Gdy dojdzie do kontrowersji — wtedy rozpatrywać się będzie poszczególne przypadki, a przeważą potrzeby najsołidniej udokumentowane.

Jednakże, zanim otrzyma się następne dotacje, trzeba się będzie rozliczyć z już otrzymanych. Nie są to więc finanse, które można przeznaczyć na inne — niż kultura — cele. Tym bardziej nie można tych pieniędzy „zaoszczędzić”, licząc z tego tytułu na wyróżnienia i pochwały. Przeciwnie, blokowanie sum przeznaczonych na rozwój kultury i jej upowszechnianie jest i będzie uważane za naganną.

Warto na ten punkt zwrócić szczególną uwagę. Zdarza się bowiem jeszcze — chociaż trzeba przyznać, iż coraz rzadziej — że na przykład administracja terenowa nie chce z Funduszu Rozwoju Kultury finansować obsługi domów kultury czy świetlic lub klubów gromadzkich. Nie ma więc komu dbać o te placówki, sprzątać je, ogrzewać itp. Tymczasem właśnie po to fundusz istnieje, aby każda placówka kultury, nawet — a może zwłaszcza — te najmniejsze były zadbane i funkcjonowały. Także z tych pieniędzy trzeba robić zakupy książek do bibliotek, popierać twórczość amatorską itp.

Fundusz Rozwoju Kultury jest więc tą formą państwowego mecenatu, która dociera wszędzie i tylko od ludzkiej pomysłowości zależy czy pieniądze będą wykorzystane w sposób sprzyjający rozwojowi kultury.

Przez ostatnich kilka lat głośno było w kolarskim światku o bardzo dobrej postawie młodzieży Górnika Polkowice. Podopieczni Henryka Woźniaka odnosili w młodzieżowym cyklicznie znaczące sukcesy w skali krajowej. Od czasu do czasu słyszano się też o dobrych rezultatach seniorów Chrobrego Głogów i młodych kolarzach legnickiego Legrolu. Ci ostatni pozostawali jednak w cieniu, gdyż nie mogli jakoś wypłynąć na szerokie wody. Nie zrażało ich to, gdyż wiedzieli, że solidna praca musi wreszcie przynieść oczekiwane efekty. Tak też się stało. W pierwszych dniach sierpnia nadeszła z Jeleniej Góry radosna wiadomość: Grzegorz Siudak wywalczył tytuł górskiego wicemistrza Polski juniorów, a zarazem zdobył srebrny medal w XI Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży!

musiałem jednak trochę poczekać — do września 1980 roku. Po otrzymaniu roweru jeździłem samodzielnie i dopiero w grudniu rozpoczęły się systematyczne treningi.

— Zadebiutowałem wiosną 1981 roku. Gdzie odbył się twój pierwszy wyścig?

— Był to wyścig na rozpoczęcie sezonu, zorganizowany w Wądrożu Wielkim. Organizatorzy zapewnili silną obsadę, a ja startując w kategorii młodzików uplasowałem się na 18 pozycji. Jak na początek miejsce wiele zachęcające. Potem startowałem w mistrzostwach Dolnego Śląska w jeździe indywidualnej na czas i zająłem 16 miejsce. Lokaty te bardzo mnie zachęciły i podbudowały, ale... nadeszły wakacje i zniwa. Z konieczności przestałem trenować i dopiero na rower wsiałem w lipcu. Szybko

jeden rower i dwa zapasowe koła. Moi koledzy z zasobniejszych klubów posiadają po kilka rowerów i to różnej marki. Są więc w znacznie korzystniejszej sytuacji. Nie zraża mnie to, gdyż polubiłem kolarstwo, zawzięłem się i postanowiłem coś osiągnąć w tej dyscyplinie.

— Przez cały czas startów musiałeś godzić naukę ze sportem. W jakim stopniu to się udawało?

— Muszę szczerze przyznać, że było bardzo ciężko, ale jakoś udało mi się ukończyć Zasadniczą Szkołę Hutniczą i zdobyć zawód mechanika maszyn i urządzeń hutniczych.

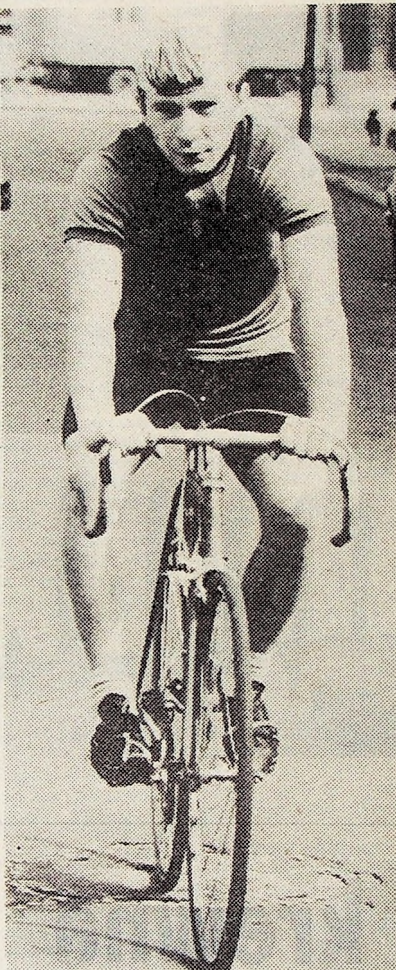
— Rower rowerem, szkoła szkołą, ale zostało jeszcze gospodarstwo rolne...

— Obecnie mieszkam z rodzicami w Wysoku. Ojciec prowadzi 15-hektarowe gospodarstwo. W tej sytuacji chcąc nie chcąc muszę mu pomagać, zwłaszcza że moje rodzeństwo (dwie siostry i dwóch braci) pracuje bądź jeszcze się uczy. Najtrudniej jest oczywiście w okresie spiętrzonych prac polowych i muszę sobie z tym jakoś radzić. Zresztą praca fizyczna wyrabia kondycję i w pewnym stopniu pomaga w uprawianiu kolarstwa.

— W Jeleniej Górze osiągnąłeś swój pierwszy i znaczący sukces. Chyba na nim nie zamierzasz skończyć?

— To dopiero początek. W najbliższym czasie czeka mnie wyjazd do Jugosławii. Znany i wielce ceniony przez kolarzy trener Józef Tropaczynski włączył mnie do ekipy reprezentacyjnej. Postaram się we wrześniowym wyścigu zaprezentować z jak najlepszej strony. A co będzie dalej? Sni mi się złoty medal w przyszłorocznych mistrzostwach Polski juniorów, zdobywanie (w Jeleniej Górze zdobyłem pierwszą) wyższych klas sportowych, zaaklimatyzowanie się w kadrze narodowej juniorów, a w przyszłości znalezienie się również w kadrze seniorów.

— Grzegorz — mówi jego trener Grzegorz Niwiński — ma szansę zostać dobrym kolarzem. Jeśli będzie ściśle stosował się do rad i poczynił szkoleniowców to może wyrosnąć na zawodnika dużego formatu. Broń tylko Boże, aby nie uderzyła mu woda sodowa. Przecież na ten sukces czekałem sześć lat, a Janusz Jasiński aż jedenaście. Cały czas szkoliliśmy kilkunastoosobowe grupy i dopiero Siudak uzmysłowił wszystkim, że również w Legnicy mogą być dobrzy kolarze. A muszę stwierdzić, że pracujemy w wyjątkowo ciężkich warunkach. Klub nie jest jakimś potentatem, a sekcja nie ma w praktyce swojego dobrego mecenasa. Największą naszą bolączką jest brak rowerów. Do sekcji zgłasza się sporo młodych chłopców, których często muszę „spławić”, gdyż nie mieliśmy na czym jeździć. Drugą — nie mniej istotną sprawą — jest transport. Każda szanująca się sekcja kolarska posiada własny samochód. U nas takiego nie ma. Muszę więc — jako taksówkarz — używać swojego samochodu. Zarobkowo jeżdżę od wczesnych godzin rannych, potem treningi i co jakiś czas wyjazdy na zawody. Sprawę doskonale rozwiązałoby uzyskanie nysy. Aktualnie trenuje 19 zawodników. Po ostatnim sukcesie Siudaka zmienił się stosunek władz do naszej sekcji. Liczymy więc, że przyjdą nam z pomocą, a my ze swej strony gwarantujemy uzyskiwanie jeszcze lepszych rezultatów.



Fot. Janusz Budnicki

doszedłem do siebie. Pojechałem na kryterium do Jeleniej Góry i zająłem szóste miejsce. Potem jako młodzik startowałem w kategorii juniorów młodszych w górskich mistrzostwach Dolnego Śląska w Walimiu i wywalczyłem 12 miejsce. W następnym roku kilka razy jeździłem w przełajach, lecz bez powodzenia. Bardziej odpowiadała mi szosa. Był to dla mnie udany sezon. Szóste miejsce w ogólnopolskim wyścigu w Sobótce, wicemistrzostwo Dolnego Śląska w Nowogrodzcu, 13 pozycja w legnickim wyścigu o puchar wojewody, szósta lokata w Sokolowie Podlaskim i 24 w wyścigu w finałach OSM to moje największe osiągnięcia w 1982 roku. W rok później byłem m. in. szósty w Bieganowie, siódmy w wyścigu o puchar wojewody. Dobrze też pojechałem w ogólnopolskim wyścigu w Częstochowie. Tam mnie dostrzegli trenerzy z centrali i znalazłem się w kadrze narodowej. W bieżącym roku m. in. zająłem 13 miejsce w mistrzostwach Polski LZS, a ponadto razem z Kazimierzem Dwojakiem, Bogdanem Sopatą i Wiesławem Zabłotnym zostałem drużynowym mistrzem Polski naszego zrzeszenia. Potem nastąpił pamiętny i najbardziej udany start w Jeleniej Górze.

— W kolarstwie o wynikach nie decydują same umiejętności czy silne mięśnie, ale poważną rolę spełnia odpowiednie sprzęt...

— Teraz już nie mogę narzekać na sprzęt, ale inni mają znacznie lepszy. Mam do dyspozycji praktycznie tylko

Krótko

▲ Piłkarze II ligi rozegrali trzecią kolejkę spotkań. Nie była ona udana dla Zagłębia Lubin. Podopieczni Eugeniusza Różańskiego zmierzli się ze Ślązkiem Wrocław i gładko przegrali 0:2. Żadna niespodzianka, wrocławianie byli zespołem lepszym i odnieśli zasłużone zwycięstwo. Znacznie lepiej zaprezentował się beniaminek z Głogowa. Chrobrzy wystąpili na trudnym, bydgoskim, gruncie i zdołali zdobyć jeden punkt. Głogowianie zremisowali z Zawiszą 1:1, prowadząc do przerwy 1:0 — po strzale Pepery. W czwartej kolejce nasze drużyny walczyły na własnych boiskach. Całe nieszczęście, że oba pojedynki rozegrane zostaną w niedzielę, o godz. 17. Poprzednio lubiński mecz miał się odbyć w sobotę. Zmieniono jednak termin, z czego z pewnością nie będą zadowoleni kibice obu drużyn. Przecież wielu z nich — tak z Lubina, jak i Głogowa — od dawna wybierało się na oba pojedynki. Widocznie zdecydowały jakieś ważne względy. Warto się jednak nad tym zastanowić i w podobnych sytuacjach właściwie ustalać terminy spotkań. Od dawna już w województwie legnickim nie ma właściwego koordynatora w tej materii i być może w roli inicjatorów wystąpi głogowski i lubiński klub.

▲ Po dwóch porażkach wreszcie zwycięstwo. Tak skomentowano końcowy rezultat walczącej w III lidze Stali Chocianów w meczu z Ostrowią. Beniaminek zwyciężył, a jedyną bramkę zdobył w 45 min. Zinkiewicz. Być może, że zwycięstwo to uskrzydli Stal i w następnych pojedynkach sprawić ona będzie miłe niespodzianki. W czwartej kolejce stalowców czeka wyjazd do Victorii Wałbrzych.

▲ Przed tygodniem szerzej pisaliśmy o inauguracyjnym pojedynku legnickiej Miedzi w piłkarskiej klasie okręgowej. Legniczanie wygrali wprawdzie z Gryfem w Gryfowie 2:0, ale bardzo zawadzili w swej skuteczności. Odrobili to z nawiązką przed własną publicznością. W niedzielę podejmowali Granicę Bogatynia i popisali się istnym fajerwerkierem. Strzelili aż osiem bramek i nie stracili ani jednej. Podopieczni Kazimierza Niemietki zaprezentowali dojrzały futbol (przeciwnik nie był aż taki słabiutki) i zdecydowanie wygrali 8:0 (4:0), a bogatym łupem bramkowym podzielił się: Kisiel i Kowalski — po 2, Dziopa, Gajdzis, Musiał i Jesmanowicz — po 1. W tym przypadku wynik nie jest rzeczą najważniejszą. Bardzo cieszy dobra postawa Miedzi i fakt, że legnicki pojedynek stał na znacznie wyższym poziomie niż mecz w Chocianowie, a nawet niektóre pojedynki naszych drugoligowców. Po tym zwycięstwie Miedź została samodzielnym liderem, gdyż jej najgorszy rywal — Kuźnia Jawor — zdołał tylko zremisować 1:1 z beniaminkiem (ale doskonale sobie radzącym) Górnikiem Polkowice. W pozostałych spotkaniach padły wyniki: Olsza Olszyna — Chojnowianka 2:1, Olimpia Kamienna Góra — Karkonosze Jelenia Góra 0:0, Zamet Przemków — Łużyce Luban 5:2, Włókniarz Mirsk — Konfeks Legnica 1:2, BKS Bolesławiec — Gryf Gryfów 3:0. W niedzielę, 2 września, o 17, dojdzie na legnickim stadionie przy ul. Biedzińskiej do derbów Konfeksu z Miedzią. Będzie to rewanż za czerwcową porażkę Miedzi, która pozbawiła ten zespół szansy do III ligi.

▲ W Toruniu rozegrano finał mistrzostw Polski (zarazem finał XI OSM) juniorów w kolarskiej jeździe drużynowej. Zawody stały na wysokim poziomie, a w doborowym towarzystwie dobiegła rze spisała się drużyna Legrolu Legnica (Grzegorz Siudak, Wiesław Zabłotny, Kazimierz Dwojak i Bogdan Sopata), która zajęła dziesiąte miejsce.

▲ W Lubinie rozegrano turniej piłki ręcznej juniorów o puchar sekretarza Zagłębia Lubin — Wiesława Okiniecznego. Zwyciężył Elmot Swidnica, przed Zagłębiem Lubin, Stalą Zawadzkie i rezerwami gospodarzy. Najlepszym strzelcem okazał się Robert Lynko ze Swidnicy — 23 bramek, najlepszym zawodnikiem — Janusz Czaja (Zagłębie), a najlepszym bramkarzem — Piotr Kota z Elmotu.

Oby tak dalej!

Zygmunt Łuszcz

Sukces Siudaka jest dużym osiągnięciem nie tylko sekcji kolarskiej, ale i całego Legrolu. To bowiem pierwszy medal zdobyty w historii tego coraz prężniej działającego klubu. Jest zarazem efektem systematycznej pracy szkoleniowców i działaczy, a szczególnie trenerów Grzegorza Niwińskiego i Janusza Jasińskiego. Oczywiście głównym klubowym bohaterem jest Grzegorz Siudak.

— Górskie mistrzostwa Polski rozegrane zostały — mówi srebrny medalista — piętego sierpnia w okolicach Jeleniej Góry.

O trudności wytyczonej trasy może świadczyć fakt, że do wyścigu wystartowało nas 77, a ukończyło go tylko 47 zawodników. Nie tylko znalazłem się na tym gronie, ale zdołałem uplasować się na drugiej pozycji. Do zwycięzcy — Henryka Sobińskiego z LKS Belchatów — straciłem tylko pięć sekund. Na mecie wyprzedziłem o 49 sekund Marka Wronę ze Ślązy Sobótka, a piętego w klasyfikacji Jacka Bodyka z Polkowic już o 2.02 minuty. Dla obserwatorów i fachowców mój rezultat był sporym zaskoczeniem. Przed startem nie stawiano mnie w gronie faworytów. Trener mówił, że powinno być dobrze, ale zarówno on, jak i ja nie liczyliśmy aż na taką pozycję. Czulem się bardzo dobrze. Dzięki pomocy Wojewódzkiej Federacji Sportu i Rady Wojewódzkiej LZS dobrze przepracowaliśmy zgrupowanie w Mysłakowicach i forma przyszła w odpowiednim momencie. Postanowiłem więc ostro powalczyć. Tuż po starcie uformowała się 30-osobowa czołówka, w której się „załapałem”. Na drugim okrążeniu zostało nas już tylko piętnastu. Do przodu „wyrwało” się czterech zawodników. Na jednym z podjazdów zdecydowałem się „doskoczyć”. Jakoś mi się udało. Na dwa kilometry przed metą gumę złapał znany z dobrego finiszu Jacek Lewandowski z warszawskiej Polonii. Zostało nas tylko trzech — a więc praktycznie miałem już w kieszeni jeden z medali. Nie liczyłem jednak na złoto, gdyż rywale byli bardziej doświadczeni. Co jakiś czas nerwowo oglądaliśmy się do tyłu. Na tysiąc metrów przed metą Dręzek wyraźnie osłabł i systematycznie tracił dystans. Zostało nas dwóch i zrozumiałem, że mogę ten wyścig nawet wygrać. Na 200 metrów przed końcową linią zdecydowałem się na finisz. Wyprzedziłem Sobińskiego o jakieś 10—15 metrów. Heniek jest jednak o rok starszym i bardziej doświadczonym zawodnikiem. Widząc, że chyba za wcześnie zaatakowałem przyspieszył i dosłownie na ostatnich metrach zdołał mnie nieznacznie wyprzedzić. Gdybym posiadał większą rutynę to zaatakowałbym później i z pewnością wygrałbym wyścig. Mogło być lepiej.

— Jeleniogórski medal był niewątpliwie moim największym sukcesem i zarazem udanym efektem czteroletniej, solidnej pracy. Do kolarstwa trafiłem przecież dopiero w 1980 roku...

— W tym właśnie czasie ukończyłem szkołę podstawową w Rokietnicy. Mój kolega Zdzisław Józwiak jeździł już — jak to mówił dla relaksu — w legnickim klubie. Namówił mnie do uprawiania kolarstwa. Postanowiłem spróbować i tak się zaczęło. Zgłosiłem się do trenera Jasińskiego. Początkowo było bardzo trudno, gdyż nie było rowerów. Jeździłem więc na zwykłych dwóch kółkach. Tak przez dwa miesiące. Potem pan Jasiński skierował mnie do Bogdana Kwiatkowskiego. On obiecał rower i kolarski ubiór. Na spełnienie obietnicy

Tony Libra — w przebraniu króla Artura — na co dzień nauczyciel angielskiego w Halstrom College, otworzył drzwi i wpuścił do mieszkania, nisko skłaniając, „Juliusza Cezara” i „Calpurnię”.

— Świetnie wyglądasz, Tony, ale broda powinna być odrobinę dłuższa. — Bill Barkley, profesor matematyki, poprawił tożę i zapytał:

— A gdzie jest Ginower?
— Na razie przyszli Jeanne Unger — nasza sekretarka oraz George i Myra Wakes. On jako Mahatma Gandhi, ona jako Indira....

Znow ktoś zadzwonił do drzwi. Na progu stał mężczyzna o nerwowym wyglądzie, w normalnym, codziennym garniturze.

— Co pana tu sprowadza o tej porze? — zapytał Tony.

— Mam poważny problem. Potrzebuje pomocy.

Tony wprowadził niespodziewanego gościa do salonu:

— Popatrzcie ludzie kto przyszedł! Chyba wszyscy znacie Henry Jamesona?

Pozdrowiono go chórem.

— Tędy, Henryku... — Tony otworzył drzwi do swego gabinetu... — Co się stało?

— Zapewne czytał pan niedawno ten artykuł o handlu środkami farmaceutycznymi na terenie naszej uczelni?

Libra skinął potakująco głową. Znalaziono kokainę u wielu studentów, ale żaden z nich nie chciał podać źródła jej pochodzenia. Policjanci odeszli z z kwitkiem.

Jameson upewnił się czy drzwi do salonu są dobrze zamknięte, a potem powiedział szeptem:

— Jestem przekonany, że handlarzem narkotyków jest pracownik naszego college'u. Przypadkowo słyszałem rozmowę dwóch studentów na ten temat. Padło nawet nazwisko... Może powinienem powiedzieć o tym na policji?

— Dlaczego — „może”? — wykrzyknął Libra zaskoczony tym wahaniem.

— Właśnie dlatego przyszedłem do pana. Pan zna zasady pracy policji i wie pan jak należy postąpić. Nie jestem pewien czy ci młodzi ludzie mówili prawdę, jak więc mogę rzucić tak poważne oskarżenie? Ale co mam zrobić?

— Proszę zapytać o szefa policji Backinsa i powiedzieć mu, że to ja pana przysłałem. Proszę mi wierzyć, że jest to naprawdę dyskretny człowiek!

— Nie powtórzy pan nikomu treści naszej rozmowy, prawda? — upewnił się Jameson.

— Naturalnie, że nie! — uspokoił go Libra. — Zmienimy teraz temat! Proponuję drinka...

— Nie! Bardzo dziękuję! — odmówił Jameson i dodał z dziwnym wyrazem twarzy. — Gdyby coś mi się stało, proszę aby pomyślał pan o dokładnym przyjrzeniu się kalendarzowi... Trzeba ponownie zbadać kalendarz...

...Sześć godzin później Henry Jameson już nie żył...

☆

Inspektor Wilbur Backins wyjaśnił, że przeszedł dokładnie ostatnie 24 godziny życia denata i stwierdził, że złożył on wizytę w domu Tony'ego Libry.

— Tak — potwierdził Libra. — Jameson przyszedł do mnie około 8.30 wieczorem.

— A jaki był cel tej wizyty? Towarzyski? — zapytał inspektor.

Tony Libra szczegółowo opowiedział przebieg rozmowy.

— Nie wymienił żadnego nazwiska? — upewnił się inspektor.

— Nie!

— Dalej, niestety, nie wiemy zbyt wiele... Jamesona znaleziono koło par-

trzeba będzie przesłuchać pańskich gości... Potrzebna mi będzie pana pomoc. Czy może ich pan zaprosić w moim imieniu na policję? Powiedzmy... na godzinę czternastą?

☆

— Poprosilem państwa tutaj, gdyż liczę na pomoc — inspektor skłonił się uprzejmie, witając wszystkich uczestników maskowego balu z tamtej nocy. — Chciałbym zapytać czy może ktoś z państwa zauważył u profesora Jamesona coś, co uszło uwadze profesora Libry?

Wszyscy spojrzeli po sobie i stwierdzili, że nie byli specjalnie zaprzyjaźnieni z Jamesonem, który miał opinię i charakter samotnika.

— A co mówił Jameson tamtej nocy?

— Właściwie nic. Wszedł. Powiedział:

Bal maskowy

ku. Serce miał przebite nożem. Śmierć zaskoczyła go nagle — nie było żadnych śladów walki...

— Nawet gdyby chciał, to wątpię, czy zdołałby się obronić. Nie należał do silnych mężczyzn — odezwał się Libra. — W swoim życiu przywiązywał wagę tylko do filologii. Dużo czytał, pisał artykuły. Ale przepraszam, inspektorze, przerwałem panu...

— Na narzędziu zbrodni nie ma śladów palców... Przy zabitym znaleźliśmy tylko kieszonkowy kalendarzyk. Nie ma w nim nic nadzwyczajnego: tylko wykaz godzin w college'u i zaznaczone dni urodzin...

— Ależ on mówił mi, abym w razie czego pamiętał o kalendarzyku! Wspomniałem o tym panu...

— Tak. Dlatego też sprawdziliśmy wszystko. Miał jeszcze w domu kalendarz ścienny, ale niczego na nim nie notował. Natomiast kalendarz na biurku zawierał te same notatki, co kieszonkowy. Wydaje się, że nie jest to właściwy trop... Wygląda... jakby... — inspektor zastanowił się głęboko:

— O czym pan myśli? — przynaglił Libra.

— Tamtego wieczoru byli u pana goście? Koledzy z college'u — prawda?

— Tak, ale nie uważa pan chyba, że ktoś z nich mógł zamordować Jamesona?

— Dlaczego nie? — uśmiechnął się niewyraźnie inspektor. — Czy nie powiedział pan, że Jameson ciągle spoglądał na drzwi jakby obawiał się, że ktoś podsłuchuje? W każdym razie

„hallo” i zniknął w gabinecie Tony'ego. Gdy wyszli Tony zaproponował mu drinka, ale Jameson odmówił i wyszedł. Nie przypominam sobie, aby cokolwiek powiedział do nas — stwierdził autorytatywnie George Wakes, profesor matematyki.

— A czy ktoś z państwa wychodził z salonu w czasie, gdy profesor Libra i Jameson byli w gabinecie?

— Cóż to może zmienić?! — zdziwił się Bill Barkley.

— Profesor Jameson powierzył pewną tajemnicę panu Libra. Być może ta właśnie tajemnica stała się przyczyną jego śmierci...

— Czyżby Tony uważał, że ktoś z nas zamordował tego nieszczęśnika?! — zawołał oburzony Wakes.

— Nie! To ja muszę wiedzieć czy ktoś z państwa wychodził z salonu.

— Poszedłem do kuchni po lód — burknął.

— A ja do łazienki! — George Wakes miał również zniecierpliwiony i obrażony głos, jak jego kolega.

— Poszłam do sypialni po moją torebkę — stwierdziła Anna Barkley.

— A ja oddychałem w ogrodzie świeżym powietrzem — westchnął Bill Barkley.

— Podziwiałam kwiaty Tony'ego. — Są rzeczywiście przepiękne! — stwierdziła Myra Wakes.

Tony Libra usłyszał nagle, gdzieś, w swoim wnętrzu ostrzegawczy brzęczyk. Coś, co któreś z nich powiedziało u-

ruchomiło ten brzęczyk, ale nie mógł się zorientować, co to właściwie było...

— Chciałbym dowiedzieć się, dlaczego wszyscy jesteśmy podejrzeni, a tylko Tony'ego to nie dotyczy? — głos Barkleya nabrzmiał był wyrzutem. — Przecież powiedział pan, inspektorze, że Jameson został zamordowany, bo znał jakąś tajemnicę, którą zawierał tylko Tony'emu...

— Mam! Mam! — okrzyk Libry zelektryzował wszystkich. — Wiem kto zabił Jamesona!

— Czyżby rozwiązał pan zagadkę kalendarza? — zapytał inspektor.

— Nie! To coś innego!... Czy jest tu jakiś leksykon?

— Dlaczego leksykon?!

— Przypomina pan sobie inspektorze, że Jameson był ekspertem jeśli chodzi o znaczenie wyrazów i ich pochodzenie? A czy pamięta pan, że tamtego wieczoru powiedział mi: „kalendarz ponownie zbadać...”?

— I co z tego wynika?

— Więc Henry Jameson myślał o innym kalendarzu!

— Na przykład?

Libra wziął do ręki podany mu przez policjanta leksykon. W pokoju nastała cisza.

— Jest jeszcze jedno wytłumaczenie słowa kalendarz.

— Jakże? — inspektor nie tał zniecierpliwienia.

— Słowo to oznaczało żebrzącego derwisza z Persji i Turcji.

— A cóż to za nowe cudo? — warknął inspektor.

— To tyle co fakir — zaklina węże, chodzi po żarzących się węglach, śpi na łożku z gwoździemi...

— Nie wydaje mi się, aby ta rozmowa mogła daleko zaprowadzić — zawążył George Wakes.

— Inspektorze! Gdy mówię „fakir”, kogo pan sobie wyobraża?

— Człowieka w turbanie i opasce na biodrach...

— A kto był w takim stroju na naszym balu maskowym?

Wszyscy spojrzeli na Georga Wakesa.

— Pan jest wariatem! — wrzasnął Wakes.

Henry miał właśnie pana na myśli — upierał się Libra.

— A dowody?!

— Berkley wspominał, że byłem jedynym, któremu Jameson powierzył swą tajemnicę.

— I co dalej? — naciskał Wakes.

— A pan powiedział, że proponowałem Jamesonowi drinka, którego on nie przyjął.

— Czy to nie prawda?

— Prawda — odpowiedział spokojnie Libra — ale skąd mógł pan o tym wiedzieć, skoro byliśmy wtedy sami, w zamkniętym gabinecie? To pan podsłuchiwał, Wakes! To pan jest mordercą!

Co się komu śni?

Opracował: Wiesław Rosa

R

Ryby — wystrzegaj się zasadzki, jeść — przychylność ludzka, łowić — znaczące zyski, wielkie zadowolenie, male — niepowodzenie, nieżywe — zmartwienie, gotować — dobrobyt w domu, złote rybki — bogaty ożenek, kupować — fałszywe pogłoski.

Rydel — troski.

Rydzę — zdrowie.

Rygiel — niespodziewany interes.

Ryk — złe wiadomości.

Rymy układać — dobra przyszłość, czytać — narcyzm, słyszeć — rozrywki.

Rytna — dobry partner.

Ryś — odkryjesz podstęp chytrego człowieka.

Rysować — oacza cię szacunek.

Rywal — nieszczęśliwe przedsięwzięcie.

Ryż — zmiana stosunków, gotować — zdrowie, kupować — wzrost majątku.

Rządzić — straty.

Rzeka — dobrobyt i radość, wpaść do niej — nieszczęście, występująca z brzegów — niepowodzenie, przepływać — powodzenie, pełna ryb — bogaty spadek, mętna — kłopoty i zmartwienia, kąpać się — bogactwo, szumiąca — wieści z zagranicy.

Rzemień — swaty; cierpienie zmienia się w radość.

Rzemieślnik — pilnością zdobędziesz powodzenie.

Rzepa — domowe nieporozumienie.

S

Sad — bogactwo, przebywać w nim — pomyślność w życiu.

Sąd — nieprzyjemne zamiary, być sądzonym — doznać niewdzięczności, sądzić — usłuchaj twojej rady.

Sadzawka — nieprzyjemności.

Sagi — zyski.

Sakiewka — próżna — długi, pełna — hojna nagroda, znaleźć — nieprzyjemność, zgubić — niespodziewany bogaty ożenek.

Sala — wejdiesz w nowe stosunki, tańczyć w niej — wesołe życie, wykładać — odznaczenie.

Salamandra — wesołe życie.

Salami — trwała przyjaźń.

Saletra — połowiczne powodzenie.

Salwa — wesołe zdarzenie.

Salata — słabość, siac — nieużyteczna praca, jeść — dobre widoki na przyszłość, rwać — zuchwałość.

Samobójstwo — nieszczęście z własnej winy.

Samolot — dumne plany, latać nim — osiągniesz zamierzony cel.

Samotność — doznasz opuszczenia.

Samowar — przyjemna wizyta.

Sanatorium — podróż wypoczynkowa.

Sandacz — dożyjesz późnej starości.

Sanie — przyjemność nie przynosząca zadowolenia, jechać wśród zamieci — przykra niespodzianka.

Sanna — zwodnicze nadzieje.

Sardyńki — trwałe szczęście.

Sarna — radosne wydarzenie, zastrzeżenie — prześladować kogoś niewinnie, skacząca — mile towarzystwo.

Sasiad — duże przykrości przez plotki.

Satyr — pragnienie użycia.

Scena — nie jesteś rzetelny.

Schab — dobrobyt.

Schadzka — przyjemne odwiedziny.

Schody — spóźnione pomysłyne załatwienie sprawy, iść w górę — trudny, na dół — powolny upadek majątkowy, spaść — straty, widzieć — kariera.

c.d.n.

Wojewódzka Komenda OHP i Chłodnia Składowa

w Legnicy, ul. Poznańska 43/63

OGŁASZA NABÓR młodzieży żeńskiej i męskiej

do Dochodzącego Ochotniczego Hufca Pracy.

WARUNKI PRZYJĘCIA:

- wiek od 16 do 18 lat,
- dobry stan zdrowia.

W czasie pobytu w OHP junakowi przysługuje:

- wynagrodzenie w I roku — 3.360 zł,
w II roku — 4.960 zł,
- bezpłatne wyżywienie w postaci obiadu,
- zdobycie zawodu garmażer,
- uzupełnienie wykształcenia podstawowego.

Wszelkie zgłoszenia należy nadsyłać pod adres:

Komenda OHP przy Chłodni Składowej, pokój 21.

961-k

REJON DRÓG PUBLICZNYCH

w Złotoryi, ul. Chojnowska 8

ogłasza przetarg

- na sprzedaż samochodu „Star” 660, rok produkcji 1967, stopień zużycia 75 proc., cena wywoławcza 277.750 zł.

Przetarg odbędzie się w 14 dniu roboczym od daty ukazania się ogłoszenia w siedzibie Rejonu Dróg Publicznych, ul. Chojnowska 8 o godz. 10.

Samochód można oglądać w dni robocze w godz. 10—13.

Przystępujący do przetargu winni wpłacić wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej w kasie Rejonu Dróg Publicznych, ul. Chojnowska 8 w przeddzień przetargu.

W przypadku niedojścia do skutku przetargu w pierwszym terminie, drugi przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 12.

Zastrzega się prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

962-k

Zarząd Spółdzielni Mieszkaniowej Zagłębia Miedziowego

w Lubinie, przy ul. 1 Maja 13

uprzejmie zaprasza

członków oczekujących na zebranie w dniu 25.09.1984 roku o godz. 17 w Klubie „Nasza Chata” — Os. Świerczewskiego w Lubinie.

Celem zebrania jest informacja o rozmiarach budownictwa mieszkaniowego oraz dokonanie wyborów uzupełniających członków Społecznej Komisji Mieszkaniowej.

Jednocześnie nadmieniamy, iż wszelkie zmiany osobowe w aktach członkowskich i podania o przyspieszenie przydziału mieszkania będą przyjmowane w nieprzekraczalnym terminie do 15 września 1984 r.

964-k

ABSOLWENCI LICEÓW OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH!

Jeżeli pragniesz zdobyć zawód i uzyskać kwalifikacje zawodowe

ZGŁOŚ SIĘ DO POLICEALNEGO STUDIUJ ROLNICZEGO

w Chojnowie,

które dysponuje jeszcze wolnymi miejscami w kształceniu stacjonarnym i zaocznym.

Podania należy składać na adres Zespołu Szkół Rolniczych 59-225 Chojnow, 960-k

WOJEWÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO ENERGETYKI CIEPLNEJ

w Legnicy, ul. Nikłowa

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

na wykonanie:

- robót telekomunikacyjnych na budynku WPEC — Legnica przy ul. Poznańskiej w Legnicy.
- Orientacyjna wartość robót około 2,5 mln zł.

Do przetargu zapraszamy przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i prywatne.

Oferty należy składać w Dziale Mechanicznym, ul. Nikłowa 4 w terminie 10 dni od daty ukazania się ogłoszenia.

Komisijne otwarcie ofert nastąpi w 11 dniu roboczym od daty ukazania się ogłoszenia o godz. 10 w w/w dziale.

Zastrzega się prawo wyboru oferenta lub unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

963-k

Zakłady Mięsne

w Legnicy, ul. Ścinawska 3

ogłaszają zapisy chłopców

w wieku od 16 do 18 lat

do dochodzącego hufca pracy.

Nauka teoretyczna i praktyczna odbywać się będzie w zakładzie pracy.

Bliższych informacji udziela komendant hufca, telefon 220-64, 220-65, 255-15.

931-k

Ogłoszenia drobne

LOKALE

ZAMIENIĘ mieszkanie o powierzchni 32,5 m kw., dwa pokoje z kuchnią, łazienka, balkon w Lubinie na większe lub podobne w Kamiennej Górze. Wiadomość: Lubin, Orla 39/5. 75735-g

NIERUCHOMOŚCI

SPRZEDAM pilnie gospodarstwo rolne o powierzchni 3,17 ha w miejscowości Gorzelnia, gm. Lubin. Dobre położenie. (Las dębowy, sad, zabudowania, linia telefoniczna). Wiadomość: Głogów, Śniadeckich 18/10. 75741-g

SPRZEDAM dom w Tarnowskich Górach posiadający 10 pokoi (po kupnie 6 wolnych), garaż, działka budowlana 8 arów. Wiadomość: Franciszka Bobowska, Piotrowice 66, gm. Męcinka, gm. Jawor. 75743-g

MOTORYZACYJNE

PILNIE sprzedam ciągnik „Ursus” C 355, po kapitalnym remoncie. Wiadomość: Piotr Grabowski, Mierzyce 45, gm. Wądroże Wielkie. 75742-g

SPRZEDAŻ

SPRZEDAM wzmacniacz japoński „Roland” Jazz Horus 120, instrument klawiszowy „Bochner 2”. Wiadomość: Legnica, Tatarska 8/2. 75739-g

ROZNE

NOWO otwarta kwiaciarnia — Osiedle Piękary, przy ul. Karkonoskiej 72 — zapraszamy. 75738-g

ZGUBY

ZGUBIONO prawo jazdy kat. B nr 3811/76, wydane przez Urząd Miejski w Jaworze na nazwisko Józef Rygaczewski, zam. Jawor, ul. Starojaworska 15/11. 75733-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. C nr 5582/77, wydane przez Urząd Gminy w Chojnowie na nazwisko Włodzisław Chmielowski, Dobroszów 26. 75734-g

ZGUBIONO pieczętkę o treści: „mgr inż. Tadeusz Bostecki — uprawnienia budowlane, paragraf 8 pkt. 1, 2 i paragraf 7 pkt. 1, 2 zamieszkały Lubin, ul. Krucza 51/17”, wydana przez Prezydium Rady Narodowej Wrocław. 75736-g

ZGUBIONO prawo jazdy A, B, C, D wydane przez Wydział Komunikacji w Złotoryi na nazwisko Andrzej Wrzeczoniowski, zam. Złotoryja, Słowackiego 9D/5. 75737-g

ZGUBIONO prawo jazdy kat. D nr 384603/77 wydane przez Wydział Komunikacji w Złotoryi na nazwisko Józef Mularczyk, zam. w Wojciechowie nr 12, gm. Zagrodno. 75740-g

Tydzień z samym sobą



To nie żart. Bohaterami tego tygodnia będziecie wy sami i wasi przyjaciele.

OTO ZADANIA:

• Specjalne zadanie dla wszystkich zastępów NAL.

Zorganizujcie uroczystą zbiórkę całego zastępu, na którą zaprosicie swoich dorosłych przyjaciół i opiekunów zastępów. Dokonując oceny pracy za dwa miesiące wakacji przeanalizujcie wszystkie zagadnienia opublikowane w „Konkretach” i oceńcie ich wykonanie przez wasz zastęp.

Wyniki oceny umieśćcie w meldunkach do Komendy Hufca i Komendy Chorągwi. W meldunkach podajcie ponadto własne zadania zainicjowane i wykonane przez zastęp. Prześlijcie do Komendy wykaz nazwisk i adresów osób instytucji, które pomogły wam w pracy zastępu i chcielibyście im podziękować.

Unoragwiany Sztab NAL na specjalnym spotkaniu w drugiej połowie września z udziałem komendanta Chorągwi legnickiej ZHP dh. Kazimierza Pleśnia-

ka, hm. PRL oraz sekretarza redakcji tygodnika „Konkrety” Czesława Pańczuka dokona podsumowania pracy zastępów NAL na terenie całej chorągwi.

W celu dokonania pełniejszej oceny działalności zastępów, Sztab NAL zaprosi do udziału w spotkaniu podsumowującym zastępów tych zastępów, które najaktywniej pracowały przez całe dwa miesiące i prześlą meldunek o wykonaniu zadania z dzisiejszego numeru „Konkretów” najpóźniej do 15. 09. 84 r.

WĘDRUJĄCA STANICA NAL:

Komenda Chorągwi Legnickiej ZHP, Sztab NAL serdecznie dziękują władzom administracyjnym oraz oświatowym w miejscowościach: Rosochata, Zaborów, Rogów, Ruja, Mikołajowice, Krotoszyce, Miłkowice, Warta Bolesławiecka, Modła, Wierzbowa, Sucha Górna, Kotla, Rzeczyca, Parszowice, Spalona — za pomoc udzieloną Wędrującej Stacji NAL.

Przypominamy nasz adres: Chorągwa-ny Sztab NAL, 59-220 Legnica, ul. Leni-
na 8.



W szkole podstawowej w Wysokiej (gmina Przemków) od czterech lat działa harcerski zespół „Mozaika”. Grupa liczy 29 harcerzek i harcerzy w wieku 7—18. „Mozaika” wykonuje dosyć szeroki repertuar. Od piosenek harcerskich i turystycznych po żartobliwe. Zespół pod kierunkiem Mieczysławy i Zdzisława Krawczonków już na swym koncie wiele sukcesów. Na XI Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej zdobył wyróżnienie. „Piosenka Gucia” w wykonaniu najmłodszego członka zespołu Pawła Krawczonka została uznana na tymże przeglądzie przebojem festiwalu. Inna piosenka wykonywana przez „Mozaikę” zatytułowana „Obozowe coun-
try” zajęła czwartą lokatę w plebiscycie o miano szlagiera.

Wierciecie to wiercie

Gwiazdy mówią

Wierzmy, że Czytelnicy przyjmą ten punkt widzenia i przyjrzy się, a losów gwiazd nie powierzą.

• **BARAN (21 III — 20 IV):** Odpoczynek za-
włada się dobrze, zażyjesz ciszy i spokoju.
Regeneruje to twoje siły. Musisz jednak pa-
ciać, że nie jesteś sam i pomyśleć o
swoich współtowarzyszach. Zgromadź
co najmniej siłę i energię, bo będą ci nie-
wzajemnie potrzebne.

• **BYK (21 IV — 21 V):** Podróż, spotkanie,
romans, może nawet miłość, ale bacznie
czuj czas rozglądaj wokół siebie. Kozio-
łki nie będzie dla ciebie dobrym towa-
rzyszem. W finansach powodzenie, nie prze-
racaj jednak z wydatkami, aby nie po-
wstał w kłopoty.

• **BLIŹNIĘTA (22 V — 20 VI):** Nie możesz
wzagać z osobą, która cię nie opuszcza
i chce toba powodować. Odsuń ją
nie na dystans, inaczej nabawisz się
niechęci nerwicy. Wiadomość, która nadej-
dzie z daleka, zaskoczy cię, ale przyjemnie.

• **RAK (21 VI — 21 VII):** Okres najbliższy
będzie bardzo ruchliwy. Liczne i bardzo do-
stępne towarzysztwo sprawi ci wiele radości.
Nie szukaj w nim stałego partnera,
bo byś błąd. Złatw sprawę urzędową, w
czymś będzie się wlokła za toba
niechęć.

• **LW (23 VII — 23 VIII):** Dobre dni na

sprawy osobiste. Jeśli już masz kogoś blis-
kiego, to nie wysyłaj swojego krytycyzmu
by doszukać się w nim wad. Nie ma ludzi
idealnych. Ciesz się chwilą i pamiętaj o go-
rzych samotności. Nie przepag ważnej spra-
wy zawodowej.

• **PANNA (24 VIII — 23 IX):** Nie obiecyj
sobie zbyt wiele. Będziesz ciężko przeżywać
rozczarowania. Przyjmij sprawy takim, jak
są. A czeka cię sporo miłych chwil w
bardzo miłym towarzystwie. Problemy, któ-
re cię dręczą, odsuń na potem, rozwiąż się
same.

• **WAGA (24 IX — 23 X):** Nowe doświadcze-
nia dadzą ci wiele atutów do ręki. Nie od-
krywaj ich jednak zbyt wcześnie. Sytuacja
będzie wymagała od ciebie czynnej posta-
wy. Musisz wszystkie siły zmobilizować do
działania. Miłe spotkanie z Rakiem będzie
źródłem cennych informacji.

• **SKORPION (24 X — 23 XI):** Nie możesz
popuścić doskonałej sytuacji. Jednym głupim
posunięciem, które ci będzie dyktowała twoja
małostkowość. W kłopotach finansowych
zwróć się o pomoc do Barana. Ale pamię-
taj, że on jest w gruncie rzeczy wielkim
skąpcom.

• **STRZELEC (23 XI — 22 XII):** Nadchodzą
dni, które spędzisz w licznych i ciekawym
towarzystwie. Strzeż się tylko Skorpiona,
bowiem zbliżenie z nim może przynieść ty-
ko kłopoty. Od ciebie zależy rozstrzygnięcie
zawilej sprawy rodzinnej, nie zwlekaj z nim.

• **KOZIOŁOŻEC (23 XII — 20 I):** Twoje pla-
ny zupełnie zostaną pokrzyżowane. Ale chy-
ba nie będzie to powodem do zmartwień.
Musisz tylko wykazać maksymalne poczucie
humoru i to w stosunku do swojej osoby.
Przy końcu tygodnia niespodzianka i to
związana z Waga.

• **WODNIK (21 I — 20 II):** Były dni relaksu,
teraz popracuj nad sobą. Tracisz kondycję
i przy okazji rozlazisz się psychicznie. Co-
dzienna intensywna gimnastyka jest wprost
konieczna. Nie poddawaj się sugestiom Lwa,
on nie ma na ciebie dobrego wpływu.

• **RYBY (21 II — 20 III):** Wszystkie sprawy
ścisłe planujesz, a tu wszystko potoczy się
inaczej, ale nie gorzej. Do akcji wkroczy
ktoś, kto najmniej cię bardziej niż się do te-
go chcesz przyznać. Pewna sprawa urzędowa
ma szansę na pomyślnie załatwienie, ale
potrzebna będzie pomoc Panny.

proponujemy

Na ekranach tv

od 31 sierpnia do 6 września 1984 r.

Piątek

PROGRAM I

Dzienniki: 17.20, 19.30, 21.40, 23.05.
9.00 Teleciele TDC — Kino Telefilm: „Zło-
ta kaczka”. 15.25 NURT — Inauguracja.
17.15 Program dnia. 17.30 „Ostatnia noc
samotności” — film prod. rumuńskiej.
reż.: Virgil Calotescu. 19.00 Dobranoc:
„Kasia i maluszek” — „Jajeczko”. 19.10
Krajobraz Polski. 20.00 Monitor rzado-
wy. 20.30 „Dzień Wisły” — polski dra-
mat wojenny, reż.: Tadeusz Kijowski, wyst.:
Henryk Talar, Ewa Borowik, Edmund
Fetling, Jerzy Kamas, Emil Karewicz. 21.55
Złota 84. 22.10 Z filmoteki 40-lecia — „Por-
treti” — Teodor Parnicki.

PROGRAM II

18.25 Program dnia. 18.30 Program lokalny.
19.00 Pobocza sportu. 19.20 Przeboje „Dwojki”
na lato. 19.30 Dziennik. 20.00 Festiwal
muzyki Ravela w Poznaniu. 21.00 Za kie-
rownicą. 21.15 Wydarzenia. 21.30 Gość letnie-
go studia „Dwojki”. 21.45 Polska pieśń zoi-
nierska — „Wirtuti Militari” — plenerowy
program muzyczny. 22.40 Opowieści o mi-
łości: „Powrót do młodości” — film prod.
CSRS, reż.: Pavel Haspra.

Sobota

PROGRAM I

Dzienniki: 15.00, 19.30.

7.45 „Westerplatte — Katowice — Warszawa”.
8.25 Pr. dnia. 8.30 Tydzień na działce. 9.00
„Kontrasty jesieni” — franc. film przyrod. 9.15
„Historia de Jonga — jug. film dokumentalny.
10.20 Historia dramatu polskiego — Jerzy
Zawieyski — „Gdy płoną lasy” — reż.: Mar-
cel Kochańczyk. 12.15 „Niebieskie lato” —
ode. pt. „Polczyk” — hiszp. film dla mło-
dzieży. 13.00 Kroniki lat pierwszych. 13.50
Poradnik rolniczy. 14.20 Do zwycięstwa: „Z ho-
norem i chwałą” — program dokumentalny.
15.05 Krajobraz polski — „Bieszczady” —
film dokumentalny. 15.30 W świecie ciszy —
program dla niesłyszących. 16.00 „Parada
oszustów” — „Tajny detektyw” — reż.: Grze-
gorz Lasota, wyst.: Piotr Fronczewski, Woj-
ciech Pszoniak i in. 16.50 „Gdańsk — Stare
Miasto” — film dokument. 17.00 „Pogłos bu-
rzy” — program filmowy. 18.05 Losowanie
Dużego Lotka. 18.20 Pegaz. 19.00 Dobranoc:
„Przygody Bolka i Lolka” — „W puszczy”.
19.10 Z kamerą wśród zwierząt — zwierzęce
przedszkole. 20.30 „Ptaki ptakom” — filmowy
dramat wojenny prod. polskiej, reż.: Paweł
Komorowski. 21.50 „Westerplatte — Katowice —
Warszawa” — program w 45 rocznicę wybu-
chu II wojny światowej. 22.30 Wiadomości spor-
towe. 22.40 Na żywo. 23.20 Kino nocne: „Nęd-
ze psy” — film kryminalny prod. USA, reż.:
Sam Peckinpah.

PROGRAM II

11.30 NURT — Inauguracja. 12.00—23.30 So-
bota w „Dwojce”. 12.00 Wiadomości. 12.10 Filhar-
monia „Dwojki” — Festiwal Chopinowski w
Dusznikach. 13.00 „Podróż na tamte 16 mm” —
pt. film. dla dzieci. 14.00 „Galeria „Dwojki” —
sztuka inspirowana historią. 15.00 Godzina z
Marianem Podkowińskim. 16.00 Wideoetka.
16.30 Temat na dziś: „Witaj szkole”. 17.00
Wielkie pustynie: „Zapomniana pustynia” —
franc. serial dok. 17.50 Gorąca linia —
ekspres reporterów. 18.15 „Kiedys na
świecie były wojny” — program poetycko-
dokumentalny. 18.30 Program lokalny. 19.00
Przeboje programów „Dwojki”. 19.30 Dzien-
nik. 20.30 Festiwal muzyki Ravela w Pozna-
niu. 21.15 Ze sztuką na ty — „Zaczynamy
sezon”. 21.45 Tydzień w polityce — kome-
ntuje K. Szynkiewicz. 21.55 „Marco Polo” (I)
— włoski serial biograficzny.

Niedziela

PROGRAM I

Dzienniki: 15.00, 19.30.

7.55 Po gospodarsku 8.15 Program dnia.
8.20 Tydzień — magazyn rolniczy. 9.00 Tele-
ranek oraz film prod. polskiej: „6 milio-
nów sekund” (I) — „Paczka wilka mor-
skiego”. 10.30 Wielkie miasta świata — „Opo-
wieść o zwycięstwach mieście” — polsko-
francuski film dokumentalny. 11.30 Na kra-
węzi słowa. 12.00 Siedem anten. 13.00 Kraj
za miastem. 13.25 Teatr TV dla dzieci: „Przy-
gody diabła Fajferka”. 14.15 Telewizyjny
koncert żywych. 15.05 Program dnia. 15.10 „Di-
xieland na Wistę” — program rozrywkowy.
15.25 „Posidonie 84” — repor. 16.00 „Dziewczy-
na z nad jeziora” — czeskosłowacki film oby-
czajowy, reż.: Jan Lacko. 17.25 Kulisy wiel-
kiej polityki — „Państwo Nancy i Ronald
Reaganowie”. 17.55 „Kaustinen — 82” — re-
portaż z Festiwalu Muzyki Ludowej i Folk-
loru w Finlandii. 18.20 Antena. 18.50 Wysta-
pienie ambasadora Demokratycznej Republi-
ki Wietnamu. 19.00 Wietnamska: „Pszczółka
Maja” — „Mysz w butelce”. 20.00 Program
publicystyczny. 20.30 „Punkty za pochodzenie” —
polski film fab. 21.50 Sportowa niedziela.
22.10 Przegląd międzynarodowy. 22.35 Leksy-
kon polskiej muzyki rozrywkowej.

PROGRAM II

7.50 „Punkty za pochodzenie” — film dla
niesłyszących. 9.40 „Spojrzenie na Wrzesień” —
wojsk. film dok. 11.00—23.15 Niedziela w
„Dwojce”. 11.00 Powitanie. 11.05 Aerobic. 11.20
Wiadomości. 11.30 „Moja muzyka” — wybitni
ludzie świata kultury prezentują swoje ulu-
bione utwory muzyczne. 12.00 Kwadrans z
hejnałem — „O hejnale i Adasiu”. 12.15
Godzina dla zdrowia. 13.15 Kalejdoskop fil-
mowy „Kino — OKO” — „Szachetne ka-
mienice Celionu”. 14.10 Kino familijne: „Ojciec
Murphy” (ode. ostatni) — „John Michael
Murphy niech odchodzi w pokój”. 15.00
Cudowny świat Walta Disneya. 15.45 Wielka
gra — teleturniej. 16.45 Jutro poniedziałek —
magazyn spraw rodzinnych. 17.15 Grabież

kultury — „Specjalny wysłannik Hitlera”.
17.45 Świadkowie. 18.05 „Cervantes” (I) — se-
rial biograficzny prod. hiszpańskiej. 19.00
„Ala ma kota, czyli wszystko o ele-
mentarzach”. 19.30 Dziennik. 20.00 Stu-
dio sport — I liga piłki nożnej. 21.00 Opo-
wieści o Galijskim — program literacko-
muzyczny. 21.35 Sensacje XX wieku. 22.00
Z pamiętnika szalonej gospodyni — „Rozwód
po polsku”. 22.20 Wielkie filmy małego ekr-
anu: „Szpital na peryferiach” — „Porwanie”.
23.15 Wiadomości.

Poniedziałek

PROGRAM I

Dzienniki: 16.25, 17.20, 19.30, 22.00, 23.20.

15.50 NURT — Społeczeństwo a przyroda.
16.20 Program dnia. 16.30 Encyklopedia TDC
— „Rekordziści” cz. 1. 16.55 Zwierzęcie. 17.30
Telewizyjny informator wydawniczy. 17.45
„Grawitacja jest moim wrogiem” — film do-
kumentalny USA. 18.10 „Dolina wielkiej rze-
ki” — film rumuński. 18.20 Saldo — magazyn
gospodarczy. 19.00 Dobranoc: „Bajka o
skrzacie i jego chacie”. 19.10 Echa stado-
now. 20.00 Publicystyka. 20.15 Teatr telewi-
zji — Tadeusz Rittner — „Wilki w nocy” —
reż.: Krzysztof Gordon. 22.15 Złota 84. 22.25
Pokój 408. 22.55 Album Chopinowski.

PROGRAM II

17.30 Powitanie „Dwojki”. 17.35 Poza Zie-
mią. 18.00 Kapitan schodzi ostatni „Na
piasku”. 18.30 Program lokalny. 19.00 Pokrę-
tą głową — zagadki alpinistyczne. 19.20 Prze-
boje „Dwojki”. 19.30 Dziennik. 20.00 Szkice
historyczne — „Wasza cesarska mość prze-
graliśmy wojnę”. 20.15 Wieczór wietnamski
w TP. 21.15 DT — wydarzenia i telefon
„Dwojki”. 21.30 „Zły syn” — film fab. prod.
wietnamskiej.

Wtorek

PROGRAM I

Dzienniki: 9.30, 16.25, 17.20, 19.30, 21.40.

9.40 Film dla II zmiany: „Adopcja” — cz.
1 — „Ania” — film obyczajowy TP. 16.20
Program dnia. 16.30 Bydgoskie impresje mu-
zyczne. 16.55 „Michałki”. 17.30 Dwadzieścia
lat minęło — „Mysz” — film obyczajowy
TP. 18.15 Od melodii do melodii. 18.30 Pro-
gram publicystyczny. 19.00 Dobranoc: „Ślimak
Macius” — „Jak ślimak Macius i krasnolu-
dek Goździk mająci wodę”. 19.10 Diagnosta.
20.00 Publicystyka. 20.15 „Adopcja” cz. 1 —
„Ania” — film obyczajowy TP. 21.10 Sie-
dziba — reportaż. 21.55 Złota 84.

PROGRAM II

17.30 Powitanie „Dwojki”. 17.35 Studio sport.
18.00 W obronie własnej — Kraków o obro-
nie. 18.30 Program lokalny. 19.00 Bukiet do-
brych życzeń — recital Kazimierza Kowal-
skiego. 19.20 Przeboje „Dwojki”. 19.30 Dzien-
nik. 20.00 „Gorąca linia” — express reporte-
rów telewizyjnych. 20.15 Salon muzyczny —
Kraków. 21.15 Wydarzenia. 21.30 Portret kla-
sy — „Broniśmy stolicy”. 22.00 Literatura
i ekran — „Światło sprawiedliwych” — film
prod. austr.

Środa

PROGRAM I

Dzienniki: 9.30, 16.20, 17.20, 19.30, 21.45, 23.00.

9.40 Film dla II zmiany: „Adopcja” (2) —
„Kryzys” — film obyczajowy TP. 12.00 Czas
reformy. 15.40 NURT — Dydaktyka matema-
tyki — Kształtowanie pojęć na etapie przed-
definicyjnym. 16.10 Program dnia. 16.15 Loso-
wanie Express Lotka i Małego Lotka. 16.30
„Krag” — magazyn harcerszy. 16.40 „Tik-tak”.
17.30 „Pigułki dla Aurelii” — film prod. pol-
skiej. 19.00 Dobranoc: „Pomysłowy Dobro-
mir”. 19.10 Program publicystyczny. 20.00
Publicystyka. 20.15 „Adopcja” (2) — „Kryzys”
— film obyczajowy TP. 21.10 Z filmoteki 40-
lecia — „Skarby kultury polskiej”. 22.00
Złota 84. 22.10 Lewica na Zachodzie. 22.30
Studio sport.

PROGRAM II

17.30 Powitanie „Dwojki”. 17.35 Muzyka po
południu. 18.00 Zwierzęta świata — „Kon-
mój przyjaciel”. 18.30 Program lokalny. 19.00
Śpiewnik domowy. 19.20 Przeboje „Dwojki”.
19.30 Dziennik. 20.00 Za kierownicą. 20.15
„Tam, gdzie pleprz rośnie” — ode. 15 — „Fie-
sta”. 21.00 Pomóż szkole — cz. 1. 21.15 Wy-
darzenia. 21.30 Ekonomia na co dzień — o
pracy. 22.00 Kino autorskie: „Nad jeziorem”
cz. 1 — „Ojciec”.

Czwartek

PROGRAM I

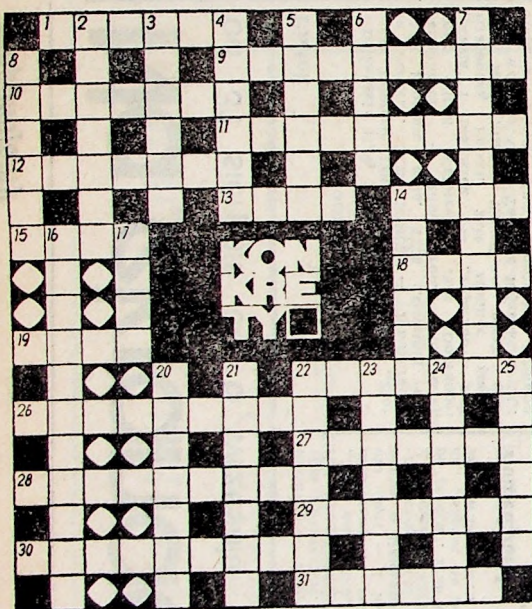
Dzienniki: 9.30, 16.25, 17.20, 19.30, 22.00, 23.00.

9.40 Film dla II zmiany: „Mściele” —
film prod. ZSRR. 16.20 Program dnia. 16.30
O mnie, o tobie, o nas oraz film prod. NRD
„Dziewczyna pirat”. 17.30 Interstudio. 17.35
„Człowiek dla człowieka” — magazyn PCK.
18.05 Patrol. 18.30 Sonda — „Jak po sznurku”.
19.00 Dobranoc: „Miś Uszatek” — „Wesołe
miasteczko” — film polski. 19.10 Piłkarska
kadra czeka. 20.00 Fakty, wydarzenia, analizy.
20.15 Teatr sensacji — Elaine Morgan. 20.30
„Przebież ty nie żyjesz” — reż.: Wojciech
Marczewski. 21.55 Program publicystyczny.
22.15 Złota 84. 22.25 Studio sport.

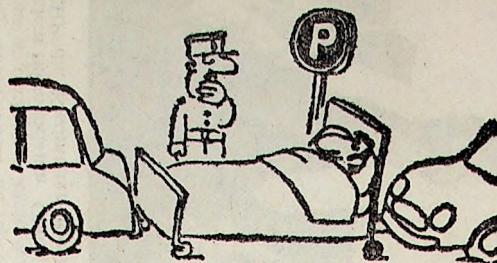
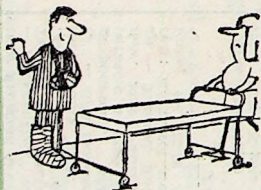
PROGRAM II

17.30 Powitanie „Dwojki”. 17.35 Podaj łapę
— koty — zwierzęta ras. 18.00 Krajobraz kul-
tury. 18.30 Program lokalny. 19.00 Klub An-
toniego Plechnickiego. 19.20 Przeboje „Dwojki”.
19.30 Dziennik. 20.00 „Gorąca linia” — ex-
press reporterów telewizyjnych. 20.15 Teatr muzycz-
ny na świecie — „Tibusza” — reż.: 21.15 Wła-
dysław. 21.30 Program publicystyczny. 22.00
„Talus” — film francuski, reż.: Roman
Polanski.

NAGRODY KSIĄŻKOWE
wylosowały: **RENATA SA-**
DEK, ul. Węglów Politycz-
nych 7/3, 57-300 Kłodzko;
JOANNA ZDZIAREK, ul. Bia-
łowiecka 15, m. 21; 54-234 Wro-
cław; **GRAZYNA CZEKAN-**
SKA, ul. Ruchu Oporu 4/4,
58-304 Walbrzych.
NA ROZWIĄZANIA Krzy-
żówki z numeru 35 czekamy
do 9 września 1984 roku.



W wielu szkołach Wielkiej Brytanii pisze portugalska gazeta „Diario de Noticias”, w dalszym ciągu powszechnie stosuje się kary cielesne. Według danych przekazanych przez organizację nauczycieli występujących przeciwko tego rodzaju praktyce, jedynie w ubiegłym roku zanotowano około 200 przypadków zastosowania tej „metody wychowawczej” wobec uczniów. Gazeta opisała skutki publicznego ukarania siedmioletniej uczennicy. Szok spowodowany egzekucją był tak silny, że dziewczynka mogła wrócić do szkoły dopiero po dwuletniej kuracji psychiatrycznej.



lacji zaledwie dwie szklanki wina" a napojów alkoholowych nie używa w ogóle. Policjantów nie zadowoliło takie wyjaśnienie, ale nie zdecydowali udowodnić, że kierowca był pijany. L. Stokes kategorycznie odmówił zгоды na przeprowadzenie badania, powołując się na swą "parlamentarna nietykalność".

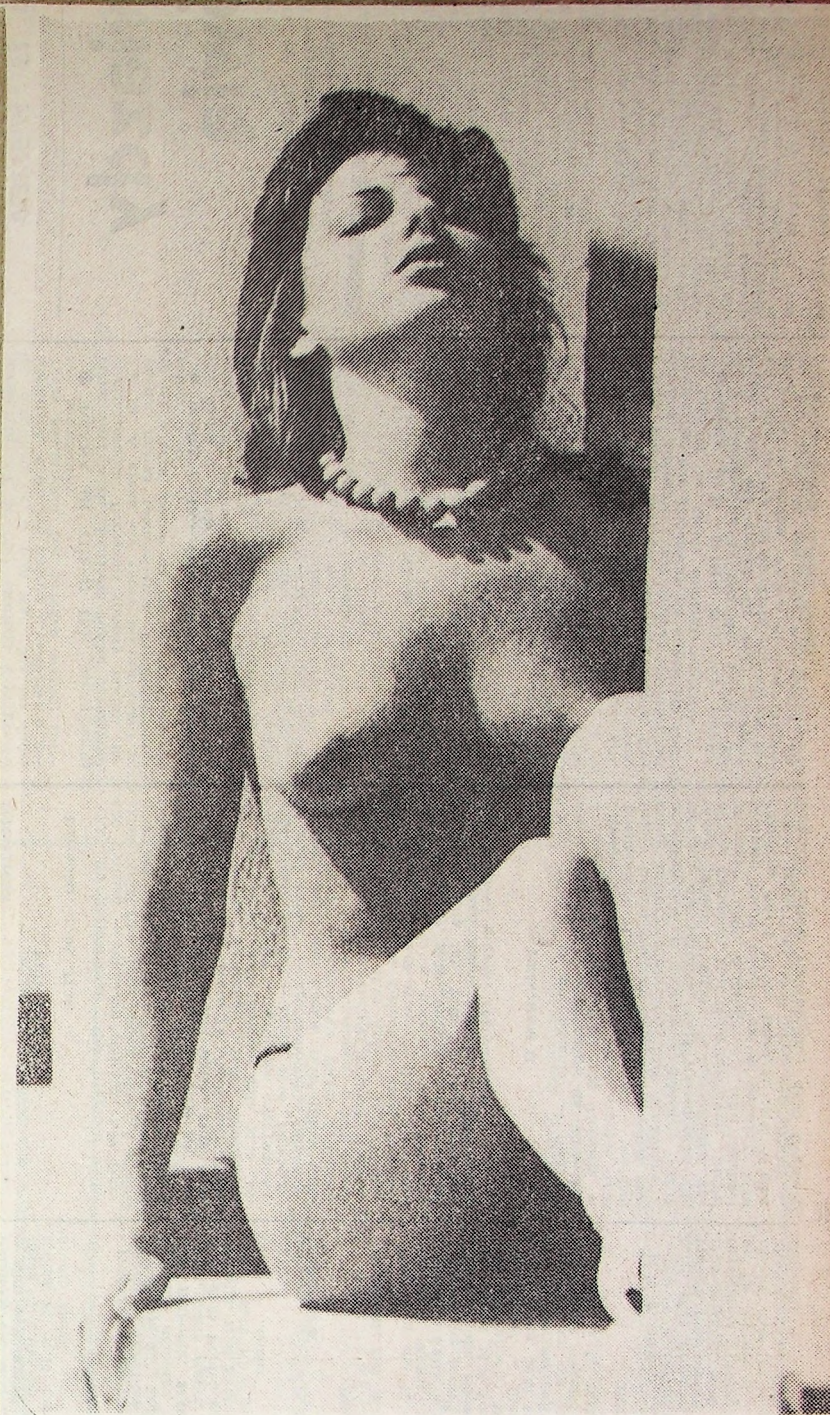
Grupa entuzjastów z miasta Hamamatsu (Japonia) zorganizowała niedawno doświadczalną jazdę samochodu i dwóch motocykli. Nie chodziło bynajmniej o jakieś supernowoczesne modele: wszystkie trzy pojazdy pochodziły z produkcji seryjnej. Niezwykłość polegała na tym, że ich silniki pracowały na nowym paliwie — spirytusie mandarynkowym. Po doświadczeniach eksperci ustalili, że oryginalne źródło energii w niczym nie ustępuje benzynie. Mimo to, raczej sceptycznie ocenili perspektywy uzyskiwania paliwa ze skórek mandarynkowych. Dla wyprodukowania 1 litra spirytusu mandarynkowego trzeba bowiem obrać 11 tysięcy owoców.

Bill Pound, zawodnik jednego z kanadyjskich klubów zawodowych hokeja, ma niezwykłe hobby. Zbiera on, jak informuje gazeta „Deutsches Sportecho” (NRD), własne zęby wybite podczas starć z przeciwnikami. „Zgodnie z wszelkimi zasadami” i do prostu podczas bijatyk na meczach.

Oryginalna metode reklamowania swych uslug wymyslila pewna spolk wywozila smieci w Tulonie. Zaopatrywala swe samochody w nastepujacy napis: „Jesli bedzie pan niezadowolony z naszych uslug zobowiazujemy sie przywiezc z powrotem dwa razy tyle smieci, ile wywieziemy”.

Amerykanin Isidore Zimmerman spędził w więzieniu 24 lata za zabójstwo, którego nie popełnił. Niedawno — jak doniosła hiszpańska gazeta „El País” otrzymał on od administracji nowojorskiej odszkodowanie w wysokości miliona dolarów. W 1937 roku Zimmerman został skazany na śmierć, ale na dwie godziny przed egzekucją wyrok zamieniono na dożywotnie więzienie. Dopiero w 1981 roku nieszcześnik wyszedł na wolność. Mimo iż dzisiaj można go uważać za milionera Isidore mówi, że żadne pieniądze nie wynagrodzą mu strat poniesionych z winy amerykańskiej Temidy.

Dwie Turczynki przybyłe do Ludwigsburgu (RFN) w odwiedziny do pracujących tam mężów, nie uzyskały od władz zezwolenia na pozostanie w mieście. Powiedziano im, że im więcej obcokrajowców mieszka w RFN, tym bardziej Niemcom grozi przekształcenie obecnej większości narodu niemieckiego w mniejszość w stosunku do mieszkańców na terytorium kraju cudzoziemców. Jak pisze tygodnik „Stern”, radny miejski, socjaldemokrata Edgar Schmidt stwierdził, że tego rodzaju argumentacja jest wyraźnie zbieżna z тезami hitlerowskiego programu partii narodowo-socjalistycznej.



TYGODNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ. ADRES REDAKCJI: 59-220 Legnica 2, plac Chopina 2, skrytka pocztowa 145. REDAGUJE ZESPÓŁ: Jacek Broszkiewicz, Janusz Budnicki (koloreporter), Janusz Dobrzański, Maria Kuncaj. Zigmunt Łuszcz, Antoni Neczynski, Czesław Pańczuk (sekr. red.), Eizbiela Pomorska (red. techn.), Maria Samborska (red. naczk.), Agnieszka Szydłowska. TELEFONY: red. naczk. 241-46, sekr. red. 241-49, z-ca sekr. red. 299-25, publicyści 602-26, 292-41, koloreporter 214-77, biuro ogłoszeń, administracja 279-92. Rękopisy nie zamawianych redakcja nie zwraca. Zaświadcza się również prawo skracania nadesłanych tekstów. WYDAWCA: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Podwale 64, 50-950 Wrocław 2. DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Piotra Skargi 3/5 50-950 Wrocław 2. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń RSW, 50-950 Wrocław 2, Podwale 62, tel. 357-71; wszystkie biura ogłoszeń RSW w kraju oraz redakcja w godzinach 8.30–16.00. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. PRENUMERATA: kwartalna — 130 zł, półroczna — 260 zł, roczna — 520 zł. Wpłaty należy adresować: RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki, 50-950 Wrocław 2, ul. Hubska 8/16, nr konta: NBP i Oddział Wrocław 93015-4271-139-11. INFORMACJI o warunkach prenumeraty udzieli oddział RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW — Centrala Kolportażu i Wydawnictw, 00-950 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto PKO nr 1153-201045-139-11; prenumerata jest droższa od krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy.

PL ISSN 0137-4680 Z-13

PL ISSN 0137-4680

Z-13

Indoks 36272